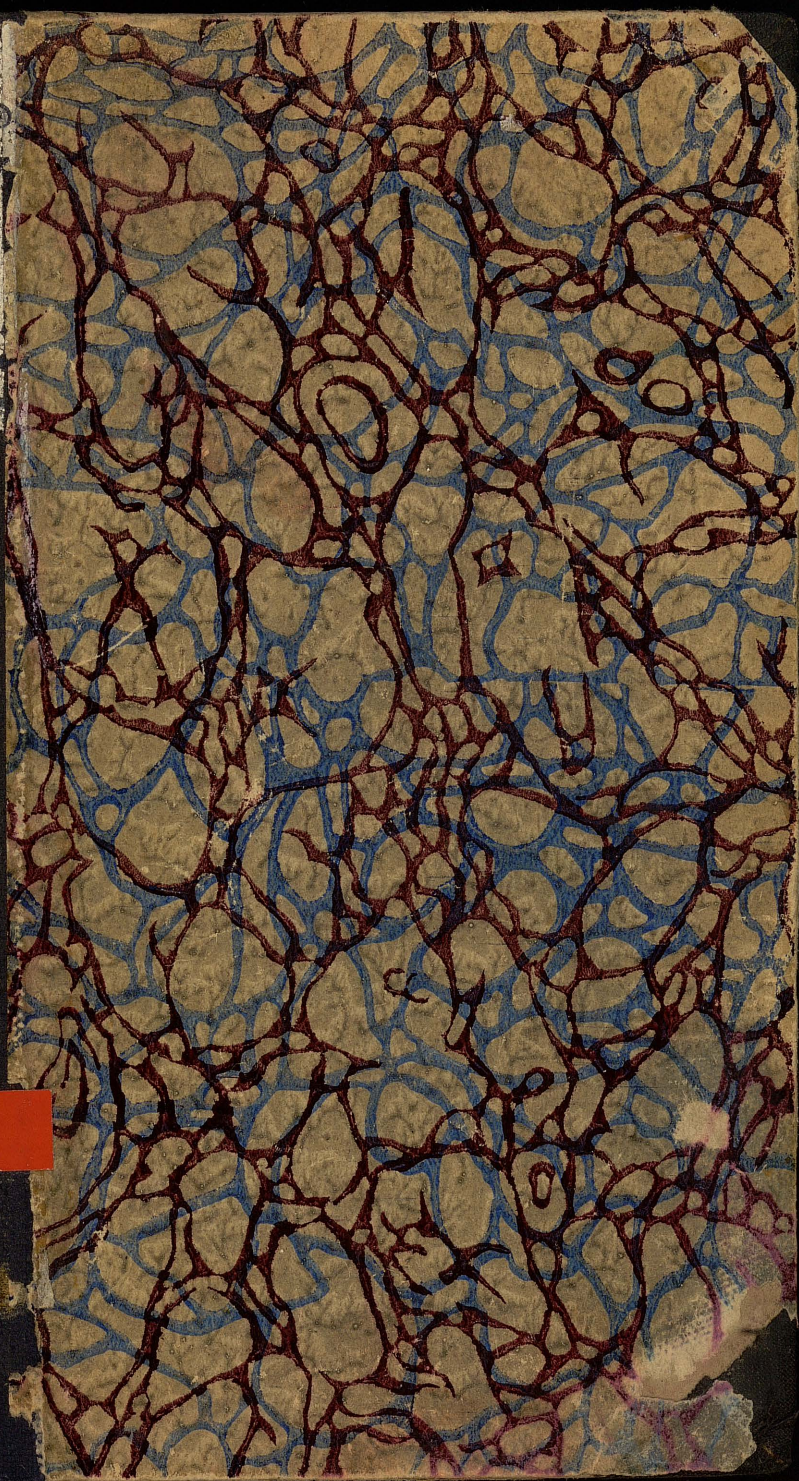


53617





Z TEKI TURYSTY

53617 9.

1646

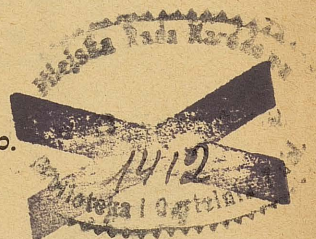
Z TEKI TURYSTY

OPIS 88-o MIŁOWEJ PIESZEJ
PODRÓŻY PO KRAJU

przez

Fadeusza Dybczyńskiego.

9/14.38 : 999



24



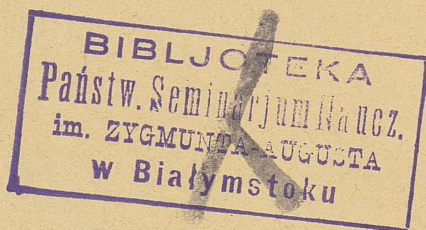
Wydawnictwo M. ARCTA w Warszawie

0049

No Inw. 2290 Ł.

2141

DRUK M. ARCTA W WARSZAWIE, ORDYNACKA 3.
1909.



Przygotowania.

Od najmłodszych lat z zapalem czytałem dzieła takich autorów jak Verne lub Mayne-Reid, nic więc dziwnego, że opanowało mną szczególniejsze pragnienie podróżowania, potęgujące się zwłaszcza z nastaniem każdej wiosny.

Nie mogąc marzeń urzeczywistnić, zmuszony byłem myślać jedynie unosić się po tajemniczych głębiach Selwasów, dżunglach Indji, lub bezwodnych obszarach Australji, obiecując sobie w przyszłości spełnienie zamiarów.

Do owych przyszłych wypraw przygotowywałem się, studjując geografję i nauki przyrodnicze, uprawiając się w podróżowanie pieszo i w znoszenie niewygód. Próby te urządziłem głównie w czasie pobytu swego na wakacjach, w okolicy gór Świętokrzyskich.

Wycieczki próbne przedsiębrane były przeważnie w celu poznania głównego pasma Łysogór, odległego od miejsca, gdzie mieszkałem, zaledwo o milę drogi. Nie trwały nigdy dłużej niż dwa dni; nie były systematyczne.

Ot tak sobie, poszło się z paroma rówieśnikami na Miejską górę, do lasu; — jeżeli była pogoda i jeść się nie chciało, — szło się dalej, bawiło do wieczora, błądząc po gąszczach, bagnach i torfowiskach, drapiąc się po tysiącach głazów na szczyt Łysicy — najwyższy w obrębie Królestwa. W wycieczkach podobnych przechodziłem zwykle dwie lub trzy mile najwyżej. O wytrwałości w podróżowaniu, rozumie się, nie można było z nich sądzić.

Pewnego razu wpadła mi do rąk książka Wł. Umińskiego «Od Warszawy do Ojcowa». Przeczytałem ją «jednym tchem», pragnąc gorąco pójść śladem jej bohaterów.

Powtarzało się to przez kilka lat z rzędu.

Jednak dopiero rok 1904, — pozwolił urzeczywistnić się moim pragnieniom, choć nie w tych rozmiarach, w jakich pragnąłem.

Umówiłem się ze swym towarzyszem podróży Stanisławem K., że wycieczkę rozpoczniemy 1-go lipca, z Suchedniowa w powiecie kieleckim, jako miejscowości, od której dopiero zaczyna się szereg ciekawszych grodów, zamków i gór, w które tak zasobną jest gubernja kielecka i południowe części radomskiej i piotrkowskiej.

Ponieważ do lipca brakowało jeszcze kilkunastu dni, nie chcąc się prażyć i nudzić w Warszawie udałem się wkrótce koleją do Kielc, stamtąd zaś końmi do osady Pierzchnica w powiecie stopnickim, gdzie miałem przepędzić wakacje.

Czas upływał mi prędko. Nie obejrzałem się nawet, gdy trzeba już było wyruszać do Suchedniowa, dokąd mój towarzysz miał przyjechać z Warszawy

Zawinąwszy bieliznę i zapasowe ubranie w tłomoczek, który nosić miałem w paskach przez plecy, wziąwszy na wszelki wypadek rewolwer do kieszeni, mapy topograficzne, — w które zaopatrzyłem się jeszcze w Warszawie, wiele innych a niezbędnych drobnostek, — mając dobrze w pamięci nazwiska paru rekomendowanych mi osób, do których będzie można w podróży wstąpić na nocleg lub niechcący trafić na obiad, — w kostjumie letnim, uczniowskim, nie zapomniawszy o gotówce, wyruszyłem w drogę, podpierając się dla lepszej fantazji grubą okutą laską dębową, najlepszą towarzyszką i rękojmią bezpieczeństwa w podróży.

I.

Do Bodzentyna.

Była godzina druga po południu, gdym, minąwszy spore stawy Skrzętłowskie, leżące po lewej stronie drogi, zapuścił się w niewielki lasek, poza którym widać było wkrótce wieś Szczecno, należącą do obszernego majątku tejże nazwy. Wieś ta ciekawą jest ze względu, że pozostał w niej zabytek po Arjanach — piętrowy, murowany zamek, przerobiony dziś na gmach, w którym się mieści zarząd dóbr.

W obszerne lasach należących do tego majątku kopano dawniej rudę żelazną, dlatego też opodal Szczecna mamy wioskę Wojciechów, gdzie znajduje się «wielki piec» służący do jej przetapiania, dziś już nie czynny. Droga za Szczecnem wypadała mi przez gęsty, młody jeszcze las.

Za lasem, przez okropne piaski droga skręca na prawo i prowadzi następnie wprost do wsi Słopiec, położonej nad sporym stawem, utworzonym przez rzeczkę Belniankę. Rzeczka ta trochę

dalej na zachód tworzy jeszcze większy staw, Borkowski, a następnie pod wsią Morawicą wpada do Czarnej Nidy, aby razem z jej wodami spłynąć ostatecznie do Wisły.

W pośrodku wsi, przed dworkiem właściciela miejscowego majątku sędziego T. kopią znane w okolicy, wcale ładne marmury szarawe i czerwono-orzechowej barwy żyłkowane szpatem. Zwróciła też moją uwagę w tym miejscu obfitość wilczomleczy cyprysowego (*Euphorbia cyparissias*), owej z zielonawo-żółtymi na wierzchołkach baldaszków kwiatami rośliny, wydającej z łodygi i liści lepki białawy sok — podobnie jak jej krewniacy zwrotnikowi, wydający kauczuk (*Hevea brasiliensis* H. quianensis). Za Słopcem droga skręca raptownie na prawo, idąc prawie równolegle do Belnianki, którą jednak trudno zauważyć z oddalenia wśród krzewów i pagórków. Przeszedłszy niespełna cztery wiorsty, zacząłem wstępować do Daleszyc.

Osada ta, dawniej miasteczko, liczy dziś przeszło 2000 mieszkańców i niczym nadzwyczajnym nie odznacza się. Ze wsi w roku 1569 przemianowana na miasto staraniem biskupa krakowskiego Filipa Padniewskiego, — dziś z zabytków przeszłości posiada jedynie kościół parafialny, stojący na spiczastym skalistym wzgórzu w północowschodniej stronie miasteczka; zbudowany przez Iwona Odrowąża w r. 1220, przez dobudowy i odnowienia tak jest zmieniony, że śladu w nim nie pozostało z pierwotnej postaci.

Minąwszy Daleszyce, mając po prawej stronie Świnia górę, — tak nazwaną od mnóstwa

dzików, jakie się kiedyś na niej gnieździły, w dość krótkim czasie po przejściu blisko trzech wiorst znalazłem się w lesie Górzeńskim, a około godziny 5-ej we wsi Górnice.

Od Górna droga prowadzi prawie prosto na grzbiet głównego pasma Łysogórskiego, w tym miejscu niezalesionego i dość niskiego. Mijam też wkrótce folwark Krajno i po lewej stronie samotnie stojącą, stromą i łysą — zaledwie u szczytu kilkudziesięciu głazami pokrytą górę Bęczkowską.

Wązki wawóz o niemal prostopadłych ścianach, z gliny nawianej, dyluwjalnej, pokrywającej wszystkie prawie dolne części stoków gór tujejszych, pod górą zanikając, wprowadził mnie do wsi Krajno, rozłożonej wzdłuż grzbietu góry, na którą wchodziłem. Droga tu skręca na prawo. Po przejściu nią jeszcze z pół wiorsty znalazłem się na wzgórku, pod krzyżem, i tu urządziłem kilkunastominutowy odpoczynek, przypatrując się cudnemu krajobrazowi, jaki się wołoło roztaczał.

Na południe przed sobą, daleko, daleko, widzę przestrzeń pokrytą szachownicą bujnych pól, pasmami lasów i gór. Na horyzoncie widnieje Pierzchnica z okolicznymi wsiami, na prawo błyszczy w promieniach chylącego się ku zachodowi słońca wysmukła wieżyca klasztoru bernardyńskiego na Karczówce, pod którą widać znów wieże, kominy i dachy Kielc. Bardziej na prawo — Łysogóry Masłowa i Brzezinek sterczą ku mnie profilem; na północy — pasmo gór Klonowskich, zwanych tu Bukowem, rozpościera się

w całej pełni od Kajetanowa, znanego z łomów czarnego marmuru, do położonych pod samym Bodzentynem licznych kolonji o nazwie Psary. Zwracając wzrok na wschód, widzę przed sobą Psarską, obok niej Miejską górę, zakrywającą Bodzentyn, dalej puszcę Świętokrzyską, zajmującą całą dolinę między Miejską górą a głównym pasmem Łysogór — a także stoki tych grzbietów. Samych Łysogór nie widać. Przede mną wznosi się tylko, prawie prostopadle, szczyt Łysica, siny, mglisty, sprawiający wrażenie tajemniczości i grozy. Bardziej na prawo, ku południowi widnieją Bieliny, góry Widełek i Cisowa, pokryte starym lasem i licznymi glazami.

Całe południe Królestwa Polskiego stanowi jak wiadomo pas wyżyn, środkowa część którego, zwana Wyżyną Małopolską rozciąga się na zachód od Wisły w dorzeczu Kamiennej, Nidy, górnej, i środkowej Pilicy i górnej Warty, Góry Kielecko-Sandomierskie stanowią północno-wschodnią wyniosłość tej wyżyny i z nich najwyższym łańcuchem są właśnie Łysogóry. Stojąc na ich grzbiecie, zwrócony twarzą na wschód, wyraźnie mogłem zauważyć różnice w poziomach północnej okolicy Łysogór i południowej. Równina północna jest położona o kilka pięter niżej od południowej, szczyt Łysica wydaje się od strony północnej o jakąś $\frac{1}{3}$ wyższy niż od strony południowej.

Dostatecznie wreszcie nasycony pięknem widoku z góry, ruszyłem dalej za drogą. Mijam paręset kroków lasu będącego zakończeniem puszczy Świętokrzyskiej w tych stronach, po-

przeżynanego na wszystkie strony licznymi strumykami z czystą, zimną wodą źródlaną. Przede mną z pośród wysmukłych topoli wystrzela naraz w górę biała, czworokątna, w kształcie baszty jakiegoś zamczyska — dzwonnica, a zarazem brama klasztoru Bernadynek pod wezwaniem św. Katarzyny. Kościół, mury zabudowań klasztornych, dalej ogród oparkaniony starannie, z którego na drogę zwieszają się konary pięknych orzechów włoskich, wszystko to, z trzech stron okolone szumiącym lasem, zasłonięte od wichrów Łysicą, na tle sinawo-zielonym Świętokrzyskiej puszczy wygląda nadzwyczaj pięknie, a nawet usposabia mistycznie.

Nie zatrzymując się idę dalej. Łysica profil swój coraz bardziej zmienia na en face. Z początku przedstawia się jako niska, garbata wyniosłość czarniawej barwy, potym nabiera kształtów coraz ładniejszych, dzieli się na dwa szczyty jednej wysokości, stojące w jednej linii, przybiera odcień bardziej niebieskawy, a wreszcie, gdy patrzeć na nią z drogi obok pięknych polanek, uprzyjemniających głębie Świętokrzyskiego boru, a przylegających do drogi z Bodzentyna, przedstawia się wówczas w całym swym majestacie, odległa, wyniosła, otulona mgłami jak prostopadła ściana stercząca dumnie na widnokręgu.

Przeszedłszy dwie wiorsty lasu znalazłem się znów wśród pól, w zagłębieniu między Miejską i Psarską górą.

Słońce za chwilę zgaśnie. Czerwone jego promienie ozlaczają ukazujące się coraz wyraziś-

ciej budowle Bodzentyna, ponad którymi góruje swym czerwonym dachem i miedzianą wieżyczką kolegiata, a obok niej czerwono-szare mury ruin zamczyska niegdyś biskupiego.

Mijam krzyż postawiony obok drogi na grobie powstańców 1863 roku, mijam cmentarz żydowski położony na wzgórzu lössowym, i wąwozem o stromych ścianach gliniastych, wkraczam wreszcie na terytorjum ongi miasta, dziś ledwie osady o 3000 niespełna mieszkańców.

Bije godzina dziewiąta, gdy jestem u celu dzisiejszego dnia podróży. Pięć mil uciążliwej drogi przeszedłem w ciągu 7 godzin, niezbyt zmęczony, — ani trochę znudzony.

II.

Wspomnienia.

Ostatni dzień czerwca przeszedł mi na rozmyślaniu o nie tak dawnych czasach, kiedy to będąc w Bodzentynie na letnim mieszkaniu, z bratem i innymi rówieśnikami bujałem po okolicy, gdzie tylko oko poniosło.

I tak, na przykład, pewnego razu, w upalny, świąteczny dzień sierpniowy, koło godziny 3-ej po południu, z trzema towarzyszami zabaw wybrałem się na Łysicę.

Szliśmy nje drogą na św. Katarzynę, jakby iść należało, lecz puszcza Świętokrzyską naprzelaj. Droga wypadła przez Miejską górę. Las na

niej sosnowy, gęsto podszyty leszczyną, świerkiem a często nawet dębina, staje się u podnóża południowego, skąd właściwie dopiero zaczyna się puszcza Świętokrzyska, zupełnie prawie liściasty, a mianowicie złożony z samych niewielkich olbrzymich dębów i buków. Drzewa te, na stokach Łysicy wyrugowane są znów przez wspinałe, proste jak maszty, jodły, o białawej korze i jasno-niebieskawych od spodu igłach, przez co widok boru zmienia się znacznie, stając się dziki i ponury.

Zapuszczaliśmy się w głąb lasu szybko, mijając olbrzymie mrowiska, przypominające budowle termitów znane mi z opisów.

Przeszliśmy już ze trzy wiorsty, przebrnąwszy parę bagnistych polanek obficie zarosłych firletkami (*Lychnis*) i kilkoma gatunkami storczyków (*Orchis*), gdy przed nami, w gęstwinie drobnych krzaków, ukazała się rzeczka Pokrzywianka. Rzeczka ta przepływa puszcę Świętokrzyską w najniższym jej miejscu, prawie równolegle do pasma Łysogór, źródła swe mając gdzieś w pobliżu św. Katarzyny, ujście zaś w rzece Kamiennej, biegnącej do Wisły.

Długośmy szukali brodu, nim znaleźliśmy wygiętą w półkole nad strugą sosnę, z której można było swobodnie przeskoczyć na przeciwległy brzeg, nie narażając się na ugrzęźnięcie po pas w błocie nadbrzeżnym. Poszukując brodu, zauważyłem nad samym brzegiem rzeczki kwitnące pełniki (*Trollius europeus*), rośliny z rodziny jaskrowatych (*Ranunculaceae*). Na łodydze wysokiej na łokieć, ozdobionej podług-

watami ostro wycinanymi liśćmi, wznosi się prawie zupełnie okrągły, jaskrawo-żółty kwiat wielkości niedużego orzecha włoskiego. Zerwałem ten okaz, pierwszy raz w życiu widziany przeze mnie w tych stronach i o tym czasie, chcąc zielnik swój nim upiększyć; ledwom jednak zdążył zerwać, już większość płatków wątlej korony obleciała. Popsułem w ten sposób prawie wszystkie rosnące w pobliżu pełniki, zanim udało mi się dwie sztuki posiąść w całości.

Znalazszy się po drugiej stronie Pokrzywianki, zaczęliśmy wstępować już na Łysicę. Stok jednak był tak jeszcze nieznaczny, żeśmy długi czas szli jakby w dalszym ciągu równiną. Różnica tu zachodziła jedynie taka, żeśmy nie spotykali już bagien, tylko od czasu do czasu przerywały nam drogę drobne strumyki i mniejsze głazy zaczęły się ukazywać.

Szliśmy na Łysicę ukośnie, na południo-zachód, i dopiero po przejściu może z wiorsty od rzeczki Pokrzywianki zaczęliśmy wyraźnie wstępować pod górę. Głazy spotykane były coraz większe i liczniejsze. Między olbrzymiami jodłami coraz spotykało się buki z rozsianą pod nimi na murawie buczyną; odbijały one znacznie swą jasno-zieloną barwą od szarego tła jodeł. Przechodziliśmy osypane głazami wąwoziki, wyrte w skale przez strumyki górskie, spływające z szelestem w dolinę.

Spadziłość góry stawała się coraz większą. Kamienie liczne i dotąd, teraz już formalnie pokrywały ziemię. Z pomiędzy nich wystrzelały

w górę drzewa, a drobniejsze krzaki, zioła i trawy obrały sobie na nich siedlisko.

Przedarszy się w jednym miejscu przez gąszcz drobnych krzaków, rzadko zresztą w tych miejscach spotykany, zatrzymaliśmy się. Przed nami na kilka pięter wznosiła się ściana z samych głazów, połyskujących w świetle słonecznym. Od najdrobniejszych począwszy, mieliśmy przed sobą głazy nawet o objętości kilku metrów sześciennych, przeważnie o formach prawidłowych. Jodły tu nie rosły już, gdzieniegdzie tylko, na utrwalonej cokolwiek, a przez wiatr czy wodę naniesionej ziemi, wśród piętrzących się zwałów tego olbrzymiego rumowiska, wznosił się nieśmiało krzak jarzębiny (*Sorbus aucuparia*), widoczny zdaleka z powodu swych jaskrawych owoców; — gdzieniegdzie poetyczna kalina (*Viburnum Opulus*) lub bez czarny (*Sambucus nigra*), urozmaicały jednostajny, przyniatający wygląd tego gołoborza.

Przypatrzywszy się tylko przez chwilę temu pięknemu i ciekawemu widokowi, jaki się przed nami roztaczał, ruszyliśmy naprzód przez to morze kamieni, zapadając się między głazy, to znowu drapiąc się na czworakach po bardziej stromych lub ruchomych olbrzymach. Wyniosłe jodły, opuszczone przed kilkoma minutami, mieliśmy teraz pod sobą, zaledwie wierzchołki ich zasłaniały nam horyzont, cokolwiek zachmurzony.

Nimeśmy się dostali na szczyt Łysicy, zmuszeni byliśmy przechodzić dwa jeszcze podobne, tylko bardziej strome gołoborza. Trzecie i ostat-

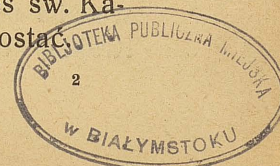
nie było już samym szczytem. Odetchnąwszy cokolwiek po uciążliwym pochodzie, skierowaliśmy kroki ku wschodniej stronie góry, gdzie na podniesieniu, umyślnie zbudowanym z kamieni i ziemi, wznosiła się wysoka na jakie 20 metrów wieża strategiczna, tak zwany w tych okolicach — sztomber.

Były to cztery grube słupy jodłowe, odpowiednio ociosane, pochyło, w czworobok, white w owe podniesienie i u góry połączone ze sobą platformą z desek parocalowej grubości, upięszoną również z desek zbudowanym daszkiem. Platforma ta, dziurawa w paru miejscach ma z 9 łokci kwadratowych. Wejście na tę strażnicę jest jeszcze wspanialsze niż sama budowla. Do połowy wysokości sztombra przystawiony jest pochyło gruby drąg ze szczablami — nadpsutemi przez czas, więc i ruchomemi. Wyżej drąg ten przymocowany jest już pionowo... Kto ma chęci, może próbować wchodzenia po nim, nam się jednak ono nie uśmiechało i weszliśmy zaledwie na kilkanaście szczebli, — wyżej było już niebezpiecznie.

Przyglądając się temu sztombrowi, nie spostrzegliśmy nawet, że deszcz zaczął padać.

Mając do domu przeszło milę, a do najbliższej ludzkiej siedziby 3 wiorsty drogi, widząc, że zanosi się na burzę, bo nawet już głuchy odgłos dawał się słyszeć, jakby grzmot odległy, nie wiele myśląc, szybkośmy pobiegli do tak zwanej «linji», granicy dzielnic leśniczych, a która stąd prowadzi prawie pod samą wieś św. Katarzyny, gdzie właśnie chcieliśmy się dostać.

Z teki turysty.



Ale na linii tej, ciągnącej się wzdłuż grzbietu Łysogórskiego, a nawet cokolwiek na północnym stoku jego, nie brak, jak i wszędzie tutaj, głazów. To też droga po niej nie należała do przyjemnych, tymbardziej, żeśmy śpieszyli się bardzo, chcąc zbiec przed ulewą. Nie przeszliśmy jednak i pół wiorsty, gdy deszcz lunął tak obficie, że, wsadziwszy ręce do kieszeni, a laski pod pachy, zaczęliśmy pędem biec przed siebie, prześcigając się wzajemnie, przesadzając głazy i pnie drzewne, z ledwością wymijając drzewa.

Jakimś trafem nawinęła nam się w biegu, po lewej stronie t. j. na stoku południowym, droga leśna, zwykła. Nie zważając, gdzie nas może zaprowadzić, widząc, że na niej niema prawie wcale kamieni tak utrudniających bieg z góry, pędziliśmy nią ze zdwojoną szybkością, bo coś łatwiejszego, jak biec z góry spadzistej wygodną ścieżyną? Lecieliśmy też, jak stado kozic alpejskich, wypłoszonych przez myśliwego nie zważając na nic, unoszeni prawie w powietrzu, prawie nie zużywając sił swoich.

Deszcz tymczasem potężniał, ciemności w puszczy stawały się coraz większe, grzmot odległy był coraz wyrazistszy i bliższy, atmosfera była ciężka, przesycona parą. Biegając tak z pół godziny, zmoczeni prawie zupełnie, wypadliśmy nareszcie z lasu.

Ale gdzieśmy się znaleźli, narazie zorjentować nie mogliśmy się. Fałszywa droga zaprowadziła nas gdzieś pod wieś Porąbki, niedaleko Krajna, musieliśmy więc skręcić na prawo i skra-

jem lasu znów wdzierać się na grzbiet Łysogór, by dostać się nareszcie do św. Katarzyny.

Tu, ponieważ nam już było wszystko jedno, czy pozostać na miejscu i przeczekać ulewę, czy iść dalej, nie zatrzymując się, aby tylko dostać się do domu jak najprędzej, gdyż i tak byliśmy zmoczeni już do «suchej nitki» — wybraliśmy to ostatnie.

Noc już się zbliżała, bo było koło godziny dziewiątej. Burza zanosila się jeszcze na większą. Nie mieliśmy nic do stracenia, ruszyliśmy więc naprzód, ale wolniej już, jakby w najpiękniejszą pogodę, choć upusty niebios zupełnie chyba się już otworzyły.

Deszcz lał po prostu jednostajną masą, tamując oddech, nie pozwalając widzieć nic na parę kroków. Błyskawice co chwila oświeślały przestrzeń wokoło, strasznie ponuro wyglądającą przez zaslonę mgieł i potoków dżdzu. Szum miliardów kropeł spadających na ziemię, przenikający do głębi huk piorunów, bijących w pobliżu nas niemal co chwila, przeciągłe echo grzmotów nieustannych, jak nie dające się opisać i wyrazić odgłosy milionów ładownych wozów, urządzających gonitwy, po kamiennym bruku, wszystko to tworzyło taki chaos, taki zgiełk tonów, że coś podobnego nie da się słowami odmalować, nie może być pojętym przez tego, kto nie był świadkiem takiej walki żywiołów.

Myśmy byli w samym środku drogi, którą sobie nawałnica obrała.

Wkroczyliśmy wreszcie do lasu Psarskiego, leżącego na drodze do Bodzentyna, a który

właściwie jest północno-zachodnią częścią puszczy Świętokrzyskiej. Przez las ten dziś prowadzi szosa. Wtedy, gdyśmy podczas tej burzy przechodzili, szosy jeszcze nie było, a ponieważ grunt jest tutaj gliniasty, znaleźliśmy się wkrótce po kolana w grzązkim ile. Potoki deszczu wraz z wezbranymi strumykami, jakie tu licznie płyną z pod Łysicy, powyrywały rowy wpoprzek i wzdłuż drogi, a w które, idąc przy świetle jedynie błyskawic, co chwila zapadaliśmy się.

Po prawej stronie drogi na dwuwiorstowej tej przestrzeni leśnej mamy cztery wielkie polany. Patrząc z nich w dzień, widzimy Łysicę bardzo dokładnie, jako prostopadłą ścianę, zabarwioną sinawo i wznoszącą się gdzieś za lasem, w którym jesteśmy, a u szczytu zaledwie posiadającą niewielkie białawe plamy — gołoborza.

Idąc właśnie w czasie owej burzy koło polanki, spojrzałem w stronę Łysicy. Za każdym uderzeniem pioruna, niewidoczny dotąd w mrokach szczyt ten, oświetlony teraz błyskawicą, stawał w całym swym majestacie, zdawał się wyższy i bliższy nas, wyraźny bardzo, okryty przez środek całunami kłębiastych dymów o kształtach fantastycznych. Jodły i buki wydawały się na nim zupełnie jasno w naturalnych swych barwach, a rumowiska — gołoborza, świeciły bladym księżycowym blaskiem. Dymy, odcinały wierzchołek Łysicy od podstawy, zmieniając jednak stopniowo kształty, przemieniały się w pionowe i ukośne smugi, łączące się w górze z chmurami.

Wspanialszego widoku nie widziałem. I choć

burza nie ustawała ani na chwilę, zatrzymałem się jakiś czas na miejscu, pragnąc przyjrzeć się temu, rzadko zdarzającemu się widokowi.

W domu znaleźliśmy się po godzinie dziesiątej, zmoczeni najokropniej i zabłoceni, przyjęci przytym potężną burą...

Miano nas za zbłąkanych w lasach i chciano wysłać ludzi na poszukiwania!

Gdy tego samego roku był drugi raz jeszcze na szczycie Łysicy, sztomber, strzaskany od pioruna czy wichru, oparty na swych fundamentach, leżał bezsilnie na ziemi, przygniatając sobą parę świerków i kilka krzaków kaliny.

Uległ losowi, jakiemu uległy i setki potężnych drzew puszczy Świętokrzyskiej w ową pamiętną nawałnicę...

Również ciekawego widowiska, choć w zupełnie innym rodzaju, niż opisane powyżej, byłem świadkiem w roku 1896. W całym królestwie panowała wówczas cholera, zabierając mnóstwo ofiar.

I w Bodzentynie i okolicy szerzyła się ona, trapiąc szczególnie żydów. Nie było dnia, ażeby kilku, a nawet kilkunastu nieraz zmarłych nie wynoszono na cmentarz.

Robiono to zwykle nocą, by samym widokiem pogrzebu nie sprawiać ludziom bólesci.

Nie pomagało palenie na rynku i ulicach osady stosów jałowca, wylewanie domostw i rynsztoków wapnem z karbolem, ani wynoszenie

się rodzin żydowskich całymi chmarami do lasu.

Ale na wszystko jest sposób.

Gdy biedni żydkowie przekonali się, że to wszystko nie pomaga, uradzili w inny sposób wziąć się do «tej choroby» (wyraz — cholera, obawiali się wymawiać).

Pewnego popołudnia siedziałem na ławeczce przed domem, gdzieśmy mieszkali (przez lato). Było to kawałek za miastem. Wtym, ze zdziwieniem spostrzegłem, jak jakiś brodaty jeździec, ubrany w coś jaskrawo-czerwonego, przypominającego frak, kłusem, a następnie galopem pędził w moją stronę.

Za nim w pewnej odległości ukazał się oryginalny pochód: na samym przodzie szli kilkuletni żydkowie, za nimi coraz wyżsi, rzędami po paru. Za tą eskortą przodową jechało czterech jeźdźców, podobnych zupełnie do pierwszego, a między nimi podążał wolno niewidomy i garbaty żyd, trzymając się za ręce z kulawą towarzyszką; dalej pchał się, w podskokach i z krzykiem, tłum żydów i żydówek, któremu przygrywała kapela znanego tu powszechnie starego Daniela.

Pochód ten, liczący więcej niż tysiąc ludzi, zgromadził całą żydowską ludność Bodzentyna. Po bokach i z tyłu podążali za nim widzowie z pośród mieszczan katolików.

Minąwszy figurę św. Jana, stojącą u wejścia do miasta na wzgórku [pochód skierował się ku cmentarzowi. Poszedłem naturalnie za nim wraz z innymi widzami.

Przyglądając się lepiej, zauważyłem, że zgro-

madzone w jedną gromadkę najstarsze kobiety wspólnie niosą coś, zawiniętego w szmatę.

Doszedszy do cmentarza, tłum zatrzymał się pod wzgórzem, na którym położony jest kierkut, a część tylko uczestników weszła poza parkan.

Ażeby lepiej przyjrzeć się, co to będzie, wszedłem szybko na przeciwległy wzgórek i stamtąd zacząłem przypatrywać się ceremonji, nic jednak szczególnego zauważyć nie mogłem, gdyż ci co weszli na cmentarz, byli dla mnie niewidoczni, ci zaś, co zostali przy drodze, rozmawiali coś między sobą w żargonie.

Dopiero w jakiś czas zauważyłem, że owe najstarsze żydówki wzięwszy się za ręce, utworzyły koło i kręcąc się wolno po obwodzie, nuciły jakąś, zapewne bardzo rozczulającą i piękną pieśń. Obok tych kręcących się bab, siedziała jedna żydówka, zawodząc żałośnie, w czym pomagało jej parę towarzyszek.

Nic z tego nie rozumiałem — i dopiero, gdy tłum po upływie jakiejś godziny rozszedł się, — dowiedziałem się, że cały ten pochód miał na celu wyprowadzenie cholery za miasto i pogrzebanie jej na kierkucie; do tego potrzebny był właśnie ślub między kalekami, zawarty na cmentarzu i pochowanie jednocześnie dziecka zmarłego na cholerę...

I rzeczywiście, tak wzniosła ceremonia pomogła! — «Ta choroba», wzięwszy z sobą na kierkut większą część żydów z Bodzentyna, przeniosła się, w jakiś czas po zaklęciu, w inne strony..

IV.

Pierwszy dzień podróży.

Na drugi dzień, 1-go lipca, było już południe, gdym wyruszył do Suchedniowa na spotkanie się ze Stanisławem K.

Dwie mile drogi przeszedłem szybko, toteż już parę minut po drugiej godzinie byłem na stacji kolejowej. Pociąg nadszedł niebawem, a w tłumie podróżnych, odrazu zauważyłem jasny szynel i znajomą twarz oczekiwanego towarzysza wybieczki.

Na stacji zabawiliśmy do godziny pół do czwartej; po urządzeniu przeglądu swoich przyborów podróżnych, wyruszyliśmy wreszcie torem kolei w stronę Kielc.

Tor skręca tu nieco wygiętym łukiem na zachód po wysokim nasypie. Idziemy nim szybko, przyglądając się przyjemnej pagórkowatej i leśnej okolicy.

Suchedniów — wieś górnicza znana już w wieku XVI, gdyż w owym czasie zaczął się tu przemysł górniczy, liczy dzisiaj chyba ze 2,000 mieszkańców. Roztaczając się przed naszymi oczyma, położona nad obszernym, stawem, utworzonym przez rzeczkę Łęczną, sympatycznie sprawia wrażenie. Wieś ta licznie jest odwiedzana przez letników.

Starannie wybielony, obszerny gmach parterowy, ocieniony topolami, mieści w sobie Zarząd zakładów górniczych rządowych w Królestwie Polskim. Z innych gmachów Suchedniowa, po-

nad dachami domów i otaczającą je zielenią drzew, wzbijają się cokolwiek w górę szare kopuły kościoła, w których dzwony, gdy biją, nasywają każdemu wspomnienia o słynnym Staszcu, zarządzającym niegdyś tutejszemi zakładami górniczemi.

Za Suchedniowem na północ, widać wyraźnie przebijającą się przez las, wysoko pod górę, jaskrawo-białą szosę, ale to tylko złudzenie wzroku, góra owa jest bowiem nieznaczną, a szosa z powodu ukośnego położenia wydaje się zdaleka bardzo stromą i długą.

Tor, podsuwając się stopniowo ku lasowi przez jaki nam wypada iść do Bodzentyna, ukazuje nam jeszcze w oddaleniu, na północo-zachód Nową i Piekłą górę, górę Suchy las, bliżej czerwone mury suchedniowskiego młyna parowego, na wschodzie wreszcie wzgórza lesiste, zasłaniające stawy rzeki Kamiennej i położone za nią miasteczko Wąchock i Wierzbnik.

Obok domku dróżnika schodzimy na drogę, prowadzącą do Bodzentyna i przechodzimy położony na górze las, tak już przetrzebiony, że poprzez półwiorstową przestrzeń, widzimy wyraźnie nasyp kolejowy, skręcający raptownie na lewo celem wyminięcia góry. Przeszedłszy las, spuszcza się spadzistym południowym stokiem góry i wchodzimy wkrótce w obręb wsi jakiejś, malowniczo wyglądającej, bo umieszczonej w kotlinie zamkniętej ze wszystkich stron garbatemi wzgórzami, poprzerzynanemi smugami pól, a na grzbietach zarosłemi niezbyt starym, sosnowym lasem. Uszedłszy ze dwie wiorsty, znów zaczęli-

smy wstępować pod górę. Las tu już okazańsz, zasypany nieco głazami. Droga gliniasto-piaszczysta idzie pod górę dość kręto, poprzerynana, brózdami wrytymi przez potoki wody deszczowej i usypana znaczną ilością sporych kamieni, utrudniających nadzwyczaj jazdę. Iść tędy można wygodnie bocznemi ścieżkami, lasem.

Gdyśmy wyszli z lasu, grzbiet góry wznosił się przed nami zaledwie na kilkanaście metrów, zasłaniając sobą widnokrąg. Gdyśmy się nareszcie znaleźli na grzbiecie, krajobraz, jaki się stąd roztoczył, zatrzymał nas kilkanaście minut na miejscu.

Na południe przed nami, widzimy długi na milę chyba, wyższy od góry, na której się znajdujemy, wał, z prawej strony od samego podnóża, z lewej u szczytu zaledwie, [zarosły szarym, starym jodłowym lasem, gęsto usianym zielonemi bukami. To Bukowa vel Klonowska góra, ciągnąca się z pod Kajetanowa i Zagnańska do samego prawie Bodzentyna. Dalej na lewo, za Bukową — Psarska, a za nią, na jednej prawie linii, Miejska góra pod Bodzentynem, wznoszą swe szczyty ciemno-szare od pokrywających je lasów.

To pierwsza linja gór Świętokrzyskich — łańcuch północny.

Równolegle do niej, ale poza nią, widzimy wznoszące się znacznie wyżej, jasno-niebieskawe, długie pasmo górskie, ginące we mgle ku wschodowi.

To już właściwe Łysogóry.

Daleko, daleko na krańcu ich błyszczący coś.

Czyje oko rozróżnia kontury budowli z odległości przeszło 3 mil, ten w tym «coś» zobaczy mury ongi klasztoru Świętego Krzyża, dziś więzienia, z miedzianemi dachy i smukłą wieżycą.

Pod Miejską górą widać Bodzentyn z murami zamczyska i okazałej kolegiaty.

Rozejrzawszy się w ten sposób po obszarze, obejmującym do 6 mil kwadratowych, ruszyliśmy wreszcie dalej, zwolna schodząc z góry do wsi Wzdół, położonej po obu stronach drogi na przestrzeni blisko pięciu wiorst.

Kościół stoi na wzgórzu, otoczony zielenią na wschodnim krańcu wsi. Będąc parę lat temu w tych stronach, przypominam sobie, że szczególniejszą uwagę zwróciłem na stojący w pobliżu kościoła olbrzymi dąb; w jego spróchniałym wnętrzu mogło się zmieścić chyba ze dwudziestu ludzi. Nie zaglądając w tym roku poza ogrodzenie przykościelne, nie mogłem się przekonać czy ten dąb istnieje jeszcze, czy też go już zrabali, albo burza zniszczyła.

Wymijając kościół, droga skręca na prawo niezbyt głębokim wąwozem, a następnie na lewo, obok cmentarza, skąd biegnie już wprost, do Bodzentyna nie załamując się nigdzie na przestrzeni 6 wiorst.

Niegdyś, jeszcze w końcu XVIII wieku cała ta okolica [pokryta była jednym] borem. Nie tak dawno jeszcze, bo przed sześćdziesięciu laty, lasy Bukowej góry łączyły się z lasami Michnowa i Siekierzna z jednej strony, z drugiej zaś, z lasami Łysogór, na całej przestrzeni od Kajetanowa do św. Katarzyny; następnie dzisiejsza

puszcza Świętokrzyska sięgała na północ przez Serwis, Chybice i Rzepin do lasów Ilżeckich, a na południe łączyła się z lasami Iwanisk, Łagowa i Cisowa.

Cała ta przestrzeń, wielkości mniej więcej 30 mil kwadratowych, a więc większa od dzisiejszej Białowieskiej puszczy, pominąwszy niewielkie okolice wsi i miasteczek, pokryta była prawie jednolitym borem; nic też dziwnego, że zwierzy-ny nie było w niej brak, i ludzie często spotyka-
li się w niej z niedźwiedziem i «zwierzem» t. j. wilkiem, jak go tu nazywali, bojąc się przez sa-mo wymienienie nazwy, wywołać go z lasu.

Wilk do dzisiaj jeszcze czasami tu zabłądził, ale bardzo rzadko.

Święty Mikołaj — to patron od dzikich zwie-rząt. Stawiano mu też figury i jedną właśnie z ład-niejszych przedstawia nam posąg pod Wzdolem, prawie przy cmentarzu po lewej stronie drogi.

Idziemy dalej, to podążając pod górę, to z gó-ry, droga bowiem fałuje tu na całej przestrzeni do Bodzentyna, przerzynając poprzeczne wąwo-zy, łączące z sobą góry Bukową i Michnowską.

Grunt tu wszędzie lössowy, glina ta jednak nie stanowi zbyt grubej warstwy. W urwiskach głębszych można pod nią zauważyć gdzienie-gdzie pokład pstrego płaskowca trjasowego; roz-ciąga się on pasem, mniej więcej dwie mile szero-kim, począwszy od Waśniowa, między Słupią a Ostrowcem, aż do Mniowa — na drodze z Kielc do Radoszyc. Na całej północnej granicy tego pasa ciągnie się znów wstęga trjasowego wapie-nia muszlowego, trzy wiorsty niespełna szeroka,

a 35 długa; poza tą wstęgą na północ do Przysuchy, na zachód do Opoczna i Żarnowa, a na wschód do Ćmielowa, szeroką, zwężającą się ku południo-wschodowi smugą, występuje górne piętro tej samej formacji t. zw. Leyuer. W północo-wschodniej znów stronie tego piętra, na przestrzeni od Orońska, przez Ilzę, znaną z ru-in zamku biskupów krakowskich, do Ćmielowa prawie, ciągnie się, wyspa Jurskich wapieni, w naj-szerszym miejscu zaledwie 2 mile szeroka. Tu-taj, podobnie jak w Jurze krakowsko-wieluń-skiej, południowo-zachodnia część wyspy należy do Jury środkowej t. zw. brunatnej, a połowa przeciwna do Jury białej, górnej.

Bodzentyn, ile razy jesteśmy na wzniesieniu, ukazuje się nam coraz wyraźniej, gdy schodzimy na dół, do wąwozu, niknie nam z oczu zupełnie. Po prawej stronie wznosząca się Łysica, dotąd gdzieś za Miejską górą widoczna, zbliża się ku Bu-kowej, zasłaniana coraz bardziej rosnącą w oczach Miejską i Psarską górą. Na lewej stronie wzgó-rza Siekierzyńskie, a dalej Sieradowskie zasła-niają widnokrąg. Za «częstochowskim» Bodzen-tynem ginie w przestrzeni olbrzymia równina, usiana kobiercem pól, ciągnąca się lekkim spad-kiem przez Opatów ku Sandomierzowi, aby tam wytworzyć strome gliniaste brzegi Wisły.

Minąwszy nareszcie zabudowania kancelarii gminnej po prawej, a folwarku po lewej stronie drogi i znalazłszy się, po zejściu ze stromego, skalistego wzgórza, nad niezbyt dużym stawem, utworzonym przez rzeczkę Psarkę, zaczęliśmy wstępować w mury miasteczka Bodzentyna.

BIBLIOTEKA
Państw. Seminarjum Nauc.
im. Zygmunta Augusta
w Białymstoku

Pierwszym naszym czynem było wejście na wzgórze gdzie stoja ruiny zamku.

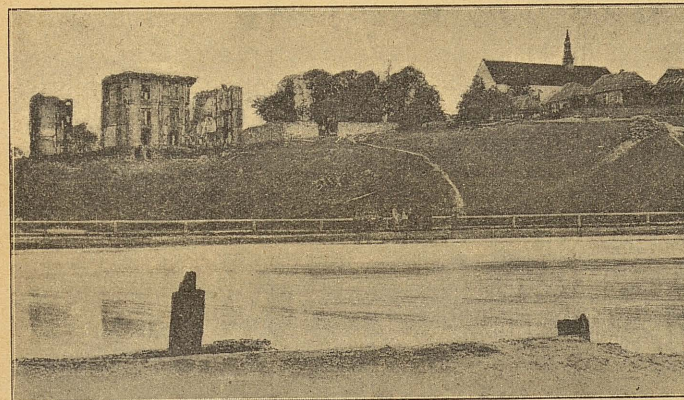
Uskuteczniwszy to, po przejściu kilkunastu kroków nad piwnicami zamkowemi, stanęliśmy przed okazałą bramą wjazdową, wykutą z czerwonego kamienia ciosowego i upiękzoną po rogach ornamentacjami.

Ruiny stanowią dziś: dwupiętrowy czworobok, będący dawniej głównym korpusem zamku, poszarpany, bez szczątków dachu nawet, okradziony w wielu miejscach z żelaznych wiązań; położona obok niego, przytykająca do ogrodu ściana wschodnia, następnie w odległości około stu kroków, nad krawędzią góry — ściana północna. Czworobok najlepiej jeszcze jest zachowany, ma bowiem ze 20 okien jako tako całych, upiękzonych gdzieniegdzie herbami wykutymi na ramach.

Zamek zbudowany był w podkowę. Styl gotycki, w jakim był pierwotnie wystawiony, uległ po późniejszych przeróbkach zeszpeceniu; szczególniej przebudowa, jaką poczynić kazał biskup Konarski, w początkach XVI wieku, nadała mu piętno budowli renesansowej i zmieniła wygląd na bardziej pałacowy, rezydencjonalny, nie obronny.

Na zamku zatrzymaliśmy się blisko godzinę. Odpoczywając po dwumilowym marszu, przyglądaliśmy się okolicy nie mniej — malowniczej niż z Michnowskiej góry. Pod nami rzeczka, od stawu spływająca, okrążała u samego spodu górę zamkową, tworzyła na północnym krańcu osady drugi staw, i uchodziła na wschód do Kamiennej.

Ruszając z pod murów dalszą drogą, znaleźliśmy się jeszcze przed frontem budowli i zajrzeliśmy do piwnic położonych rzędem w jednej linii pod nasypem wjazdowym na górze. Jedną z nich zajął aptekarz, dwie inne po części zamurowane, po części zasypane. Jak głosi tutej-



Ruiny zamku w Bodzentynie.

sze podanie, jedna z tych piwnic — to wejście do lochu, który ma się ciągnąć do wsi Tarczku, położonej na wschód od Bodzentyna o trzy niepełna wiorsty.

Od niepamiętnych czasów cała tutejsza okolica należała do biskupów krakowskich i właśnie we wsi Tarczek mieli oni swój dwór. A gdy wypadło im zapuścić się w te strony, czy to w czasie podróży wizytacyjnej, czy też w chwilach łowów, na które tu się udawali, wiedząc, że nie brak w okolicy Łysogór ni turów, ni niedźwiedzi, zajeżdżali do dworu swego odpocząć po tru-

dach, ożywiając na pewien czas zmartwiałą z bezczynności służbę.

W drugiej połowie XIV stulecia biskup Jankowski Bodzenta założył na gruntach wsi Tarczek miasto, i nazwał je od swego imienia Bodzentynem. Następca jego, biskup Florjan Mokroski, wystawił w miasteczku tym zamek i wznosił wokoło mury. Zamek więc zaczął odtąd przejeżdżającym biskupom zastępować rezydencję tarczowską, i stał się miejscem odpoczynku w podróży dla wielu późniejszych możnych; np. Jagielly, w 1410 roku, gdy z licznym poczem rycerstwa i oboźnych, siedł na Krzyżaków, odnieść zwycięskie laury pod Grunwaldem.

Przeszedzszy parkan, otaczający resztki dawnych ogrodów biskupich i minawszy dwa spore modrzewie, jakie tu rosną obok paru innych drzew, przez wyłom w murze, okalającym z jednej strony kościół, a dawniej i całe miasteczko, znaleźliśmy się na byłym cmentarzu, skąd bocznym wejściem wstąpiliśmy do wnętrza kolegiaty.

Wystawił ją w 1451 roku kardynał Zbigniew Oleśnicki, jak tego dowodzi umieszczona w kruchcie tablica erekcyjna.

Zwiedzając kościół, obejrzelśmy ołtarz wielki i boczny tryptykowy, chrzcielnicę i nagrobek zmarłego tu w 1577 roku wielkiego dyplomaty, podkanclerzego Rzplitej, biskupa Franciszka Krasieńskiego. Wielki ołtarz w stylu odrodzenia, fundowany zapewne przez biskupa Gębickiego, mieści w sobie duży obraz szkoły niemieckiej XV wieku, przedstawiający Chrystusa na krzyżu. W lewej nawie ołtarz tryptykowy, składany, przed-

stawia po środku, na złotym tle, sceny z życia Matki Boskiej, po jednej stronie klęczącego św. Jana Kantego, po drugiej biskupa Konarskiego w pontyfikalnych szatach, opartego na tarczy z herbem Abdank. Na bocznych skrzydłach tryptyku — sceny z życia św. Stanisława i Rodziny Świętej. Ołtarz ten, niewiadomego, choć z pewnością polskiego malarza — w XV wieku fundował biskup Konarski, którego też portret na tryptyku widzimy.

Chrzcielnica nie mniej ciekawą jest dla historyka. Wykuta z kamienia, ozdobiona u góry pasem ręcznych gotyckich ozdób, wypisany na poniżej rok 1480, i u podstawy podzielona jest na 8 tarcz z wrytymi na nich herbami biskupów krakowskich. Całość przedstawia wysoce subtelny wyrób i świadczy nieźle o rozwoju naszej sztuki kamieniarskiej w owych czasach.

Z kościoła ruszyliśmy na rynek. Niegdyś stał tu okazały gotycki ratusz z wysoką wieżą zegarową, wystawiony w 1670 r. przez biskupa Andrzeja Trzebieckiego. W roku 1832 jednakże, burmistrz bodzentyński, powodowany nie wiadomo czym, kazał gmach ten rozebrać. To też na czworokątnym, obszernym, i jako tako zabrukowanym rynku, widzimy tylko nieciekawy obelisk z figurą św. Florjana.

Za drugim rynkiem wznosi się filjalny kościółek pod wezwaniem św. Ducha, mało widoczny, a jeszcze mniej uczęszczany, choć znajduje się w dobrym stanie.

Za Bodzentynem znaleźliśmy się koło godzi-

ny ósmej. Szliśmy przez Dąbrowę — wioskę blisko dwie wiorsty długą i kolonję Wojciechów, położoną nad rzeczką Pokrzywianką, na skraju lasu Dębińskiego, nim znaleźliśmy się już o dobrym zmroku we wsi Dębno, pierwszym projektowanym przeze mnie miejscu na nocleg.

Lecz gdzie się udać? Pod czyim dachem szukać gościny?

Na zapytanie powiedziano nam, że naprzeciw plebanji znajduje się sklepik, w którym możemy się zatrzymać. Weszliśmy tam i wypiliśmy po dwie szklanki herbaty z kilkoma kawałkami chleba, za co zapłaciliśmy 12 kopiejek, wróciliśmy do przeznaczonej dla nas izby, aby się wypaść na łózkach będących tu widać zawsze w pogotowiu.

Zaznaczyć muszę, żeśmy postanowili odbyć podróż swą jak najmniejszym kosztem, aby samym przyzwyczaić się do spartańskich wygód, i przekonać innych, że podróż po kraju przy dobrych chęciach wcale nie jest kosztowną, ani tak trudną do skutecznego.

Była jedenasta, gdy sen nam sklejał powieki, choć pamięć nasuwała jeszcze przed oczy krajobrazy widziane dzisiaj.

V.

Na Świętym Krzyżu.

Na drugi dzień zbudziliśmy się przed godziną 7-ą rano. Pragnąc jaknajszybciej wyruszyć w dalszą drogę, zaraz po ubraniu się, naczczono, nie korzystając nawet z samowaru sklepikarki, wyszliśmy na świat, pogodny, orzeźwiający swym blaskiem i chłodem porannym.

Zwróciliśmy się najpierw ku kościółkowi. Ciekawy to okaz: niewielki, modrzewiowy cały, mający w sobie cechy budownictwa górskiego, mianowicie charakterystyczną kruchę — podcienie, zresztą dziś, dla wygody wiernych zasłoniętą zbudowaną z desek ścianą. Wewnątrz kościółek podparty jest drewnianymi filarami zdobnemi w rzeźbione głowice, upiękaszony zaś w malowidła przedstawiające brakiem proporcji i jaskrawością koloru.

Po zwiedzeniu kościółka, ruszyliśmy wsią w stronę Słupi, zamierzając wstąpić gdziekolwiek na mleko i chleb razowy.

Wchodziliśmy do paru chałup, nigdzie jednak nie posiadano mleka, bo to, co było z rannego udoju, już zjedzono.

Ruszywszy nalewo wąwozem, przecinającym nam drogę poprzecznie, doszliśmy wkrótce do drogi, prowadzącej na prawo, do wsi Jezioroko. Po spytaniu się o mleko, w kilku miejscach nadaremnie, znaleźliśmy nareszcie gospodarza, który miał się czym z nami podzielić.

Dano nam mleka. Gdy jednak poprosiliśmy gościnnego gospodarza Skibę o chleb, odpowiedział, że, niestety, chleba nie mają zupełnie, bo «latoś» grad wybił zboże, a teraz upały spaliły wszystko. Obyliśmy się więc smakiem tylko.

Pożegnaliśmy gościnnych ludzi i chcieliśmy im uiścić się za zjedzony artykuł, ale gospościa kategorycznie odmówiła przyjęcia zapłaty, motywując, że od podróżnych nie bierze się pieniędzy, lecz dobre słowo; zresztą, że dla nich jeszcze mleka wystarczy.

Ma się rozumieć, nie żalowaliśmy «dobrego słowa» i obiecali pamiętać o ich gościnności.

Pasma Łysogórskie widać stąd wybornie, w całej ich rozciągłości. Do miejsca, od którego rozpościera się las, pokrywający całe stoki góry, zaledwie około wiorsta drogi. Przed nami, trochę na lewo — Święty Krzyż błyszczy swym miedzianym dachem, — wybornie można już rozróżnić wieżę i okna byłego klasztoru. Na prawo, daleko gdzieś na południo-zachodzie, w odległości przeszło mili, wznosi szczyt swój Łysica. Widać stąd, jak na dłoni, wygięty w półkole, cały zarosły starym, potężnym lasem, profil puszczy Świętokrzyskiej, bo przeciwnie krańce jej, to grzbiety: Łysicy i Miejskiej góry.

Do Nowej Słupi przybyliśmy koło godziny dziewiątej.

Osada ta liczy dziś półtora tysiąca mieszkańców i niczym szczególniejszym się nie odznacza. W drugiej połowie XIII stulecia ze wsi przemieniona na miasto, należąc do opactwa świętokrzyskiego, przechodziła z nim różne koleje. Bene-

dyktyni wystawili tu kościół, zapewne drewniany, który w XVI wieku zastąpiony został murowanym, w formie, jaka do dzisiaj, z małemi zmianami, została utrzymana. Królowie polscy, udając się stąd zwykle na Łysą górę, do klasztoru, gościli nieraz w miasteczku, które jednakże rozwijając się nie mogło i dziś, zmienione na osadę, należy do mniejszych w okolicy.

Prawie zaraz za domami osady, po lewej stronie drogi, na łące, poza płotem ujrzeliśmy słynny posąg kamienny, przedstawiający klęczącą postać z ręką na temblaku i twarzą zwróconą w kierunku Łysogórskiego klasztoru. Jest to jakaś starożytna rzeźba, nie wiadomo przez kogo i kiedy wystawiona. Wyraz twarzy, zapatrzonej w stronę świętokrzyskiej świątyni, nacechowany jest przejmującym jakimś smutkiem, pomimo iż rysy, wskutek niszczących wpływów czasu, zatęchły się znacznie i zniekształciły bardzo udatną niegdyś podobiznę, jakiegoś pielgrzyma, co, jako votum za uzdrowienie ręki, posąg tutaj kazał wystawić na pamiątkę.

O figurze tej krążą liczne legiendy. Tak np.: bardzo dawno siedł tędy z Rzymu na klęczkach pokutnik, a gdy zbliżał się do Łysej góry, dzwony klasztorne same zaczęły dzwonić, co słysząc ludzie, bardzo się dziwili i z uszanowaniem zwracali się do niego, mówiąc, że widocznie jest święty. «Jeszczeby też!?» — odrzekł pokutnik — i w tejże chwili skamiéniał, bo Pan Bóg ukarał go za taką pychę, a w postaci tego właśnie posągu kazał mu się co rok posuwać o jedno ziarnko piasku pod górę. Gdy dojdzie w ten sposób do

klasztoru, ma być wówczas koniec świata. Drugie podanie mówi, że pewien Litwin, jeszcze za czasów ich pogaństwa, przy łupieniu klasztoru dotknął się relikwii Krzyża Świętego i przez to postradał władzę w ręce, ale potem, nawrócony wskutek tego cudu, na pamiątkę wystawił ów posąg pod górą.

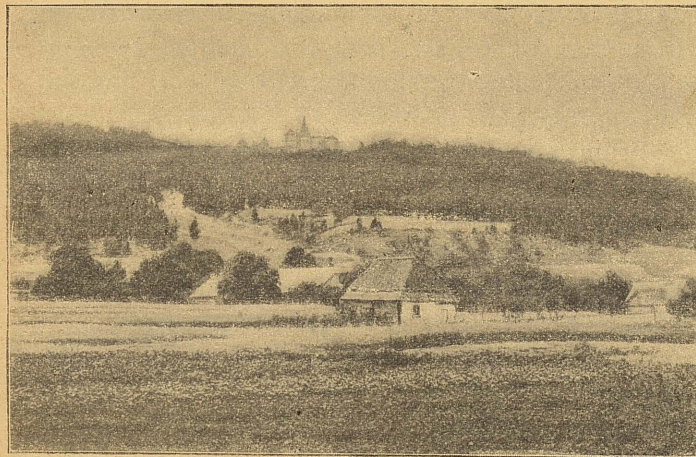
Uszedszy kilkaset kroków po usianej głazami i piaszczystej drodze, zaczęliśmy wstępować pod górę w miejscu, gdzie już las rozpościera swe panowanie. Minawszy parę białych, niewielkich kapliczek, weszliśmy w gąszcz wysmukłych jodeł, wymijając starannie bardziej ostre, gęsto rozsiane po ziemi głazy kwarcytowe. Droga skręca na prawo. Im wyżej, tym więcej głazów. Idziemy przez las, prostując sobie drogę. Spadek coraz większy. Gdzieniedzie pomiędzy jodłami widać modrzew lub grab, buk albo jawor. Podszycie lasu, niezbyt gęste, składa się przeważnie z świerków i młodych jodeł.

Idąc coraz wolniej, oblani potem, przedzieramy się przez gąszcz krzaków, i ostrokancias-tych, usypanych w olbrzymi stos, głazów.

Przedarszy się znów do drogi i idąc jakiś czas pod górę, wyszliśmy wreszcie zśród drzew na przestrzeń, pokrytą łąkami i polem, okoloną ze wszystkich stron lasem; w głębi na wierzchołku, ukazały się przed nami w całej pełni, o paręset kroków zaledwie, mury ongi klasztoru benedyktyńskiego, otoczone kamienną ścianą z dwiema bramami.

Nim zaczęło się zwiedzać kościół i klasztor, a dzisiaj więzienie, pragnęliśmy posilić się czymś,

bo prócz mleka, któreśmy pili w Jezioroku, do tej pory jeszcześmy nic w ustach nie mieli; na dobitkę, licząc, że można będzie kupić sobie jedzenia na Świętym Krzyżu, nie wzięliśmy nic na zapas ze Słupi. Ale napróżno obeszlśmy zabudowania, gdzie mieszkają strażnicy więzienni.



Widok Łysej Góry z klasztorem Ś-go Krzyża.

Nigdzie kawałka chleba nie można było kupić, a coś dopiero innego posiłku.

Nie tracąc więc bezpotrzebnie czasu wyszliśmy z tej części zabudowań klasztornych i ruszyliśmy ku kościołowi przez okazałą bramę w murze. Odpoczęliśmy parę minut pod dzwonnica, wznoszącą się oddzielnie, na tyłach kościoła, stąd roztacza się wspaniały widok na całą dolinę, począwszy od Serwisu i Jelenich gór, gdzieś ku Opatowowi. Następnie, przyjrawszy się z ze-

wnętrz romańskiej budowli kościoła, znaleźliśmy się przy wejściu, obok którego, na murze, wisi w łańcuchach parę kości mamuta, a jak tu ludzie sobie tłómaczą «wielgoluda». Kości mamuta, w istocie, nie powinny być rzadkie w tych stronach, a to z powodu, że cała okolica gór Świętokrzyskich obfituje, szczególnie w niższych swych częściach, w pokłady gliny mamutowej (lössu), nazwanej tak właśnie od tego, że znajdując się w niej często kości owego trąbowca przedpotopowego.

Frontowe wejście do kościoła było zamknięte. Nad bocznym, którym weszliśmy, prowadzącym zarazem do krużganków klasztoru, z zakratowanego okna widać było więźniów, wyglądających na świat boży. Z obszernej kruchty, w głębi której gorzej ciągle purpurowym światłem lampka olejna przed ukrzyżowanym Chrystusem, przeszliśmy na prawo do wysokiego przedsionka z kamiennymi schodami, prowadzącymi na chór. Z przedsionka obszerny gotycki krużganek prowadzi do zakrystji, jest tu też wejście do kruchty kościoła. Na końcu kurytarza, niedaleko zakrystji i drugiego wejścia do nawy kościelnej, zatrzymaliśmy się przed umieszczoną na ścianie wielką tablicą marmurową, na której złotymi zgłoskami wyryta jest po łacinie, w skróceniu, historia klasztoru.

Bolesław Chrobry, polując w tych stronach, a widząc bezludny obszar wokoło, postanowił założyć tu ognisko kultury; w tym zapewne celu, na samym prawie szczycie Łysej góry, wybudował w roku 1008-ym kościół, a sprowadziwszy

z Francji Benedyktynów, osadził ich przy świątyni, dając w ten sposób początek wielkiemu i bogatemu w przyszłości klasztorowi. Benedyktyni ci przywieźli z sobą relikwię Krzyża Świętego, i od tej to drogocennej pamiątki sam klasztor przybrał później nazwę Świętokrzyskiego.

Mając nadane sobie rozległe włości, przytym wciąż będąc obdarzany przez możnych, klasztor ten, słynny świętością posiadanych relikwji, rósł szybko w bogactwa i ściągał przez to na siebie zbrojne wyprawy, to Tatarów, to Litwy lub Rusi. Napady te doszczętnie nieraz niszczyły wszystko dobytek spokojnych mnichów, nie szczędząc ich samych; że jednak nigdy wskutek cudów, drzewo Krzyża Świętego wywiezione przez wrogów być nie mogło, więc też hojnością bogobojnych ludzi klasztor zawsze był odbudowany i znów pracownicy zakonnicy mieli możność szerzyć światło wśród ciemnego i półdzikiego ludu okolicznego.

Jagiello szczególnie upodobał sobie tę świątynię, i zawsze, przed każdym ważniejszym swym czynem spędzał tu na modlitwach i postach nieraz parę dni z rzędu. Stąd też wyruszył on, po odbyciu pieszej pielgrzymki błagalnej od Słupi, poskromić zakon Krzyżacki na polach pod Grunwaldem i Tannenbergiem.

Klasztor Świętokrzyski nieraz ulegał pożarom, najstraszniejszy jednak zdarzył się w roku 1777. Zgorzało wówczas do szczytu całe opactwo i dużo trzeba było starań i nakładu pracy, ażeby mury wzniesć na nowo. Stało się to jednak w lat trzydzieści dopiero, a nowowybudo-

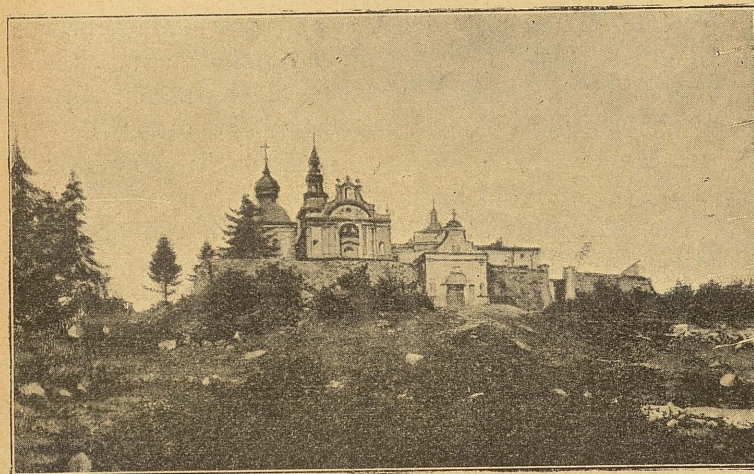
wany gmach konsekrowany w 1806 r. do dziś stoi bez zmiany.

Odczytując dość niewyraźne napisy tablicy, zobaczyliśmy stojącego za nami staruszka, tutejszego zakrystjana; poprosiło się go więc o otwarcie nam kościoła i zaprowadzenia potem na wieżę.

Zaskrzypiał wkrótce wielki klucz w ciężkich, kutych z żelaza podwojach zakrystji. Weszliśmy do sali zastawionej szafami, pełnemi ornatów i innych przyborów służby przy ołtarzu. Umieściwszy podpisy swe w wielkiej księdze, jaka tu od kilkudziesięciu lat już zaprowadzoną została dla wygody, a raczej dla przyjemności turystów, żądnych wszędzie uwieczniać swe imiona, weszliśmy do kościoła. Kościół składa się z jednej tylko nawy. Wysoki, jasny, sprawia miłe dla oka wrażenie. W siedmiu ołtarzach wielkie olejne obrazy Smuglewicza przyciągają wzrok zwiedzającego. Po środku nawy, w posadzce, zamknięte odpowiedniami drzwiami, znajduje się wejście do piwnic, w których spoczywają zwłoki wielu zakonników tutejszego opactwa. Będąc parę lat temu na Łysej górze, zwiedzałem owe piwnice. Trumny tam leżą bez ładu jedna na drugiej, niektóre wcale nawet nie zakryte. Ciała nieboszczyków leżą wyschnięte, w zbutwiałych cokolwiek habitach, niektóre zaś w popiół zaczęły się rozsypywać.

Przez zakrystję dostaliśmy się do kaplicy Oleśnickich, gdzie teraz przechowywane są w sporym złotym relikwiarzu szczątki Krzyża Świętego, właściwa bowiem kaplica Świętego Krzyża,

po spaleniu się, nie została odbudowaną. W kaplicy, malowanej al fresco, widzimy nagrobki wojewody lubelskiego Mikołaja z Oleśnicy i żony jego Zofji z Lubomirskich. Postacie na nagrobkach wykute są z marmuru, a twarze i ręce z alabastru. Małe, kręte schody żelazne prowadzą stąd na niewielki chór. Według podania,



Klasztor Ś-tego Krzyża.

w kaplicy tej mają spoczywać zwłoki księcia Jeremiego Wiśniowieckiego, znanego wszystkim z Trylogji Sienkiewicza, bohatera ukraińskiego.

Zaprowadzeni następnie przez zakrystjana na chór główny, skąd schody wiodą na wieżę kościelną, ruszyliśmy wązkim i krętym przejściem, po kamiennych wysokich schodkach na górę. Idąc po omacku prawie, gdyż światło tu jedną

tylko wąziutką szczeliną wpadało, znaleźliśmy się po kilku minutach na poddaszu kościoła, skąd drewniane, już dość obszerne nawet schody prowadzą wyżej.

Nie rozglądając się zbyt po poddaszu, jak się zdaje bardzo zagnieżdżonym przez różne ptactwo, nie wyłączając puhaczy, a także przez nietoperze, myszy i szczury, zaczęliśmy wstępować w klatkę schodową, zwężającą się coraz więcej u góry. Po dziesięciu niespełna minutach, przeszedszy na ostatku kilka blachą miedzianą pokrytych schodków, weszliśmy w otwór na szczycie wieży, z którego widok na pierwszy rzut oka już mógł każdego zachwycić.

Na północo-zachodzie, wyraźnie u podnóża Miejskiej góry, Bodzentyn z swym czerwonym dachem kościoła i murami zamczyska górował nad wioskami; za nim, na widnokręgu Bukowa i Michnowska góra; na samej północy, poza łańcuchem gór Sieradowskich i wielką smugą lasów Wierzbnika, widać basztę ruin Iłżeckiego zamku; na prawo, bliżej, dymy Ostrowieckich fabryk, na wschód Opatów i dalej we mgle szarawej Sandomierz. Oko, lunetą uzbrojone, zobaczyłoby Kazimierz lubelski i półkole Wisły, biegnące od Krakowa ku niemu. Bliżej nas wznoszą się góry Jelenie i Cisowskie, dalej na południe Busko, na zachód Chęciny i Kielce z Karczówką. Sto mil kwadratowych przed nami rozwarło się, jak na dłoni.

Po rogach balkonu, nad którym wznosi się jeszcze na kilkanaście łokci górna część wieży, umieszczone są wielkie kule miedziane.

Wszystko tu okute blachą miedzianą i zarysowane tysiącami nazwisk, inicjałów i dat, które niekulturalni turyści pozostawili na pamiątkę swego pobytu. Najstarsze, zauważone przez nas napisy, sięgają roku 1827. Na samym szczycie wieży umieszczony jest piorunochron; drut od niego idzie do sadzawek, znajdujących się na południowym stoku góry, i tam spuszczone jest w wodę. Po drucie tym, jak mi ktoś mówił kiedyś, w 1863 roku spuścił się pewien powstaniec z wierzchołka wieży na sam dół, do lasu, nie poniośszy najmniejszego szwanku. Przyznać trzeba, że bardzo ryzykował, — chociaż nie można mu się dziwić.

Wróciliśmy wreszcie z wieży i wyszliśmy z klasztoru. Zeszedłszy po kamiennych schodkach na dół, znaleźliśmy się na drodze; po jednej jej stronie wznosiły się mury klasztoru, a po drugiej las świętokrzyski opuszczał się na południe, gdzieś bez końca, zasypyany głazami, pusty, ciemny, poważnie szumiący. Więzienia nie oglądaliśmy, bo i nic zbyt ciekawego w nim niema. Z wierzchołka wieży widzieliśmy wszystkie jego zabudowania, studnie, wykute na podwórzach, strażników, przechadzających się z bronią na warcie, wreszcie samych więźniów w szarych ubraniach, którzy wyglądali przez okna, lub na podwórzach wygrzewali się pod ścianami na słońcu.

Za murami klasztoru, na północnym już stoku góry widać też było z wieży wspaniałą, jasnozieloną polankę, która, od niżej trochę położonego lasu oddzielona jest murem, usypanym z ze-

branego kwarcytowego rumowiska — jak wiadomo, pokrywającego obficie całe północne stoki pasma Łysogórskiego. Podobno, przed dziewięćset laty, w miejscu, gdzie teraz znajduje się owa polanka, stała modrzewiowa świątynia poświęcona bożkom Lelum-Polelum. Była to główna w owe czasy świątynia Słowian.

Na jej właśnie miejscu, po zburzeniu, Chrobry wzniósł Benedyktynom kościół i klasztor.

VI.

Grzbietem Łysogór.

Głodni, lecz pełni wrażeń estetycznych, ruszyliśmy z pod murów klasztornych wygodną szosą, cokolwiek pod górę na zachód, pragnąc wierzchołkiem pasma dojść do Łysicy, a potem do Świętej Katarzyny, gdzie zamierzaliśmy zanoć. Na północnym stoku góry, pod samym grzbietem, rozciąga się ku dołowi wązkami, a długimi pasami kilka gołoborzy; ze wsi Jezioro przedstawiały nam się one jako szare dywaniki, przerywające las w kilku miejscach równoległe do siebie.

Znaleźliśmy się wkrótce w najwyższym miejscu tej części Świętokrzyskiego pasma, to jest na właściwej Łysej górze. Według Armińskiego, znanego matematyka i astronoma, który tu w roku 1828 i 1829 dokonywał pomiarów, szczyt Łysej góry wznosi się nad poziomem Bałtyku na 1775

stóp paryskich, co się równa 576 metrom. Minąwszy to miejsce, zaczęliśmy nieznacznie zstępować na dół szosą.

Stojąca po lewej stronie drogi studnia ugasiła nasze pragnienie, choć uczucia głodu zaspokoić nie mogła.

Popołudniu doszliśmy do wsi Huty. W tym miejscu Łysogóry tak zniżają swój grzbiet, że wygląda on raczej na przełęcz, wiążącą dwie oddzielne góry z sobą. Przełęcz tę, na południowym stoku niezalesioną, pokrywa kilka pól i łąk oraz parę domów, należących do owej Huty, trochę niżej położonej.

Szosa, którą idziemy, opuszcza się tu znacznie na południe. Wzdłuż i wpoprzek niej, wieś wzmiankowana rozłożyła się malowniczo; Huta, bliżej nas zwana Szklaną, dalej, na południe — Starą, a na zachód Nową, nazwę swą zawdzięcza niegdyś znajdującym się tu fabrykom.

Pola na przełęczy, zarówno jak i pod samym klasztorem Św. Krzyża, z powodu warunków klimatycznych, nigdy nie są bujne, a oziminy wcale się nie udają.

Znalazszy się we wsi, zaszliśmy do jednej z chat za kupnem chleba, ale ponieważ nie miało go ani trochę, odesłano nas do drugiej chaty, kilkadziesiąt kroków dalej, której gospodarze podobno dzisiaj piekli chleb.

Dom ów zastaliśmy zamknięty, a wszyscy ludzie z niego wyszli w pole na robotę, trzeba było więc znów zwrócić się gdzieindziej. Nareszcie znaleźliśmy dom pożądany. Wszedliśmy do iz-

by zastaliśmy gospodarstwo przy stole, a właściwie stolku, na obiedzie. Prosząc gospodynię o chleb, bardzośmy wszystkich zadziwili. ale nie śmieli widać nic w tej sprawie mówić, więc zaczęli na nowo spożywać przerwany posiłek. Tymczasem uprzejma gosposia ukroiła nam z pół bochenka razowca, za co otrzymała żadaną zapłatę t. j. 6 groszy.

Uszczęśliwieni tym nabytkiem, ruszyliśmy powrotnie przez wieś i drożyną jakąś, prowadzącą przez łąkę na grzbiet góry, znaleźliśmy się wkrótce w lesie.

Uszedszy kawałek, wśród gąszczów przy drodze, na leśnej murawie, w cieniu, urządziliśmy odpoczynek, konsumując z apetytem nabyty chleb wyśmienity. Ponieważ upał nie do zniesienia, głód i pewne zmęczenie po przejściu mili kamienistą i górską drogą, dotkliwie dały się nam we znaki, rozłożyliśmy się obozem i urządziliśmy małą drzemkę, pewni będąc, że możemy spokojnie bez straży, w lesie zasypiać, gdyż dawne czasy, kiedy tu zbójcy grasowali, minęły bezpowrotnie. «Zbójców świętokrzyskich» — jak ich z pogardą nazywano, i nazwę tę stosowano do słynniejszych również rozbójników z innych stron, od dawna tu już niema. Czasami tylko jakiś czas błąka się w tych stronach złoczyńca zbiegły z więzienia Świętokrzyskiego, ale i to niedługo, bo obława wkrótce go chwyta i pakuje z powrotem do celi — o piętro niżej.

Ongi, w Łysych górach grasowały nawet i zbójczynie. W XV wieku np. niejaka Rusinowska, dobrawszy sobie gromadkę zbójów, napa-

dała dwory szlacheckie, paliła je i łupiła przez długi czas; kres tej hordzie bandytów położył dopiero sejm w Radomiu, podczas którego schwytano Rusinowską i z należną ostentacją powieszono na rynku...

Słynny też później w tych stronach był Zakuta-Zarzycki, Patałacha i paru innych. Ale się o nich dziś już nie mówi; czasem tylko gdy w okolicach Bodzentyna podobny egzemplarz się znajdzie, dopóki go władze nie ujmą, przypomina ogółowi dawne czasy... Ale to rzadko...

Zbudziliśmy się z drzemki po godzinie 2-iej po południu. Zerwawszy się i wzięwszy z powrotem na plecy tłumoczkę, ruszyliśmy w dalszą drogę, kierując się ścieżyną w głąb puszczy.

Po lewej stronie mijaliśmy polanki, a właściwie niewielkie poręby, na których jeszcze w kilku miejscach nie zdążyli ludzie uprzątnąć ściętych pni, a porąbane szczapy ułożyć w sześciennie sążnie — na sprzedaż.

Po upływie godziny znaleźliśmy się w obrębie Wielkiej Poręby.

Stare jodły, gęsto rosnące do tej pory obok siebie, ustąpiły miejsca młodym swym następczynom i milionom krzaków malin, leszczyn i jeżyn, gdzieniegdzie tylko ukazując się pojedynczo.

W miejscu tym rośnie taka moc malin, jak nigdzie chyba w tych stronach. Pamiętam trzy lata temu, przechodząc do Św. Krzyża od Świętej Katarzyny z bratem i kolegą zatrzymaliśmy się aby posilić się trochę malinami. Otóż nie odchodząc od jednego czy dwóch krzaków, czer-

wonych aż od owocu, nietylko żeśmy dowoli się nasycili, lecz jeszcze spory zapas wzięliśmy sobie w czapki na drogę.

O obfitości malin w Wielkiej Porębie wiedzą też dobrze gajowi. Toteż żadna gospoia nie zajrzy tu bez biletu, w jaki się trzeba zaopatrzyć, chcąc w lasach zbierać maliny. Zbyt gorliwi może gajowi, zebrane już maliny... zabierają sobie, a garnki tłuką, gdy zbierająca nie okaże na żądanie biletu!

W tym roku na maliny — owoce, było jeszcze zawcześnie, przytym, prawdopodobnie, szalone upały spaliły przedwcześnie rośliny i unicestwiły owocowanie.

Przebrnąwszy z wiorstę chyba gęstwiny porębowej i kilkanaście torfowisk, na szczęście nie tak bagnistych jak zwykle, mając nad głową dobrze piekącą gwiazdę dzienną, znaleźliśmy się w drugiej połowie puszczy Świętokrzyskiej, dzikiej i kamienistej, choć nie tak zarośniętej u dołu krzakami. Przeżyna ją mnóstwo wąwozików, któremi, z grzbietu pasma, pędzą liczne potoki zimnej, krystalicznej, ale deszczowej wody, źródeł bowiem podobno tu niema. Obfite wszędzie torfowiska zatrzymują opady deszczowe, wchłaniają je w siebie, destylują i, nie pozwalając wnikać w głąb ziemi, tworzą owe strumienie.

Tu las przybiera inny wygląd. Wismukle jodły nie mają zarośli u spodu, z wyjątkiem paproci, mchów i innych drobnych krzewów. Między potężnymi ich pniami przestrzeń usiana jest różnej wielkości głazami ostrokanciastymi.

Te tysiące prostych jak trzcina, szarawych drzew, wierchołkami swemi zasłaniających prawie zupełnie błękit nieba lipcowego, majestatycznie, a zarazem groźnie jakoś wyglądają. Oko ginie w głębiach boru, nuży się, napotykając wszędzie jednostajną masę pionowych słupów. Jakiś chłód wieje od rozrzuconych tu kamieni, jakaś wilgoć w powietrzu daje się uczuć i przenika w głąb jestestwa podróżnika, zbłąkanego w te otchłanie lasu.

Idziemy, starając się trzymać samego grzbietu Łysogór. Skręcając na prawo, to jest ku północnemu stokowi, napotykamy gęstwinę i zwalrumowisk skalnych. Na stoku południowym droga jest równiejsza, bardziej otwarta i pagórkowata, choć znacznie posępniejsza.

Dzień dzisiejszy dał nam się we znaki. Rano i w południe chcieliśmy jeść, a nie było co i gdzie. Teraz, syci dostatecznie dzięki razowcowi z Huty, pragnęliśmy znów napić się, a tu, jak na ironję, wody ani kropli nie było. W lesie zwykle wody nie brak: strumienie, spływające z torfowisk, aż zanadto zraszają okolicę i woda z nich zupełnie zdatna do picia; cóż kiedy w tym roku upały wysuszyły wszystkie zapasy wilgoci, i gdzie dawniej rwał się ku dołowi z szumem bystry potok górski, dziś zaledwie wilgotnawy piasek dawał poznać, że niegdyś była tu woda.

Po długich poszukiwaniach, znacznie dalej od grzbietu, na południowym stoku góry, znaleźliśmy nareszcie resztki jakiegoś strumienia. Idąc z biegiem jego, ku dołowi, natrafiliśmy w końcu na wgłębienie, w którym kilka kwart wody zdołało

się jeszcze utrzymać. Ugasiliśmy pragnienie, czerpiąc zbawczy napój po djogenesowsku t. j. dłońmi, następnie, zjadłszy po kawałku pozostałego jeszcze chleba, urządziliśmy opodal mały odpoczynek.

Przed piątą, ruszyliśmy dalej, postanawiając nie zatrzymywać się nigdzie przed dojściem do Łysicy. Las w tym miejscu stawał się już gęstszy. Zarośla pojawiły się wkrótce takie, że zmuszeni byliśmy wprost przedzierać się przez nie i to z zamkniętymi oczyma, bo rozsnuta śród krzaków pajęczyna zalepiła twarz nieprzyjemnym woalem. Liczne kamienie, spróchniałe pnie jodeł zarosłe paprocią i mchem, szczątki pni drzewnych, ściętych kiedyś, a wyglądających, jak kępki mchu, bo całe zarosły torfowcem, powodowały znów zapadanie się nas w niewidzialne doły. Potykaliśmy się też co chwila o wystające w ukryciu roślinnym głazy i pnie zwalonne, wypłaszaliśmy z gniazd i kryjówek ptactwo i płazy.

Płynąc jakby przez to morze zarośli, po pewnym czasie zauważyliśmy, że wступujemy cokolwiek pod górę. W miejscu tym gęstwina stawała się rzadszą, natomiast kamienie pojawiły się w stokroć większej liczbie. Idąc pod górę jeszcze z kwadrans czasu, znaleźliśmy się na wschodnim szczycie Łysicy. Zauważę tutaj, że pasmo Łysych gór wznosi się na swych krańcach, tworząc w ten sposób na wschodzie znaną nam już Łysą górę a na krańcu przeciwnym, zachodnim, górę Łysicę. — Otóż sama Łysica dzieli się znowu na dwa jednakowej prawie wy-

sokości szczyty, wschodni i zachodni. Na szczycie wschodnim Łysicy znaleźliśmy się właśnie w tej chwili, a ponieważ nic na nim osobliwego niema i nawet go trudno odróżnić od reszty pasma, nie zatrzymując się też, ruszyliśmy dalej, do położonego o jakieś pół wiorsty na zachód, właściwego szczytu, Łysicy zachodniej, najwyższego i najpiękniejszego ze wszystkich tutejszych wierzchołków górskich.

VII.

N a Ł y s i c y.

O pół do szóstej znaleźliśmy się na wysokości 606 metrów nad poziomem Bałtyku.

Kwadratowe wzniesienie, usypane z głazów, i krzaki kolczaste wokoło przekonały nas, że jesteśmy w miejscu, gdzie kilka lat temu wznosił się sztomber, a więc na zachodnim szczycie Łysicy.

Ponieważ z miejsca tego żaden prawie nie roztacza się widok na okolicę, gdyż gałęzie drzew zasłaniają widnokrąg i tylko widzieć można kawałek góry Bukowej, ruszyliśmy kilkadziesiąt kroków lasem, do olbrzymiego rumowiska, znajdującego się opodal. Podpierając się laskami, a gdzie trzeba było, to i rękami, przeszedłszy kilkanaście łokci po samych głazach, znaleźliśmy się na szczycie najważniejszego gołoborza Łysogórskiego. W miejscu tym według podań, co

piątek czarownice z całej Polski zlatują się na łopatach, miotłach i ożogach, aby tu uczestniczyć w Sabacie czarowników. Okoliczny lud utrzymuje, że w hulaszczych tych ucztach bierze także udział potworek wielkości rocznego dziecka, zwany Bobo, stary i brzydki karzeł.

Las w tym miejscu, od strony północnej i zachodniej znika zupełnie. Gdzie spojrzeć w dół, wszędzie kamień na kamieniu, wszędzie rumowisko, gołoborze, lśniące w promieniach zachodzącego słońca, ubarwione ciekawym porostem geograficznym (*Lichen geographicus*), pokrywającym powierzchnię głazów w oryginalne, a piękne desenie. U stóp, wierzchołki wspaniałych jodeł kołyszają się od wichru; dalej przepaść, zasłonięta dla naszych oczu. Jeszcze dalej, na prawo, czarnozielony kobierzec, wznoszący brzegi swe ku grzbietom Miejskiej i Psarskiej góry, usiany kilkunastoma jasnozielonemi polankami. Na krańcu jednej z nich żółtawy pasek, z poruszającym się na niej wolniutko jakimś czarnym punkcikiem — to droga do Bodzentyna, i jadący po niej wóz z sianem czy drzewem. Spoglądając na lewo, widzimy przed sobą w całym majestacie Bukową górę, gdzieś niżej, w dole, pola Wilkowa. Na horyzoncie, poza linią Bukowej, Psarskiej i Miejskiej góry, widać lasy Michnowa, Siekierna i Sieradowic, za nimi dymy Starachowickich fabryk, we mgle wreszcie, na północy, szpiczasty szczyt Ilżeckiej góry zamkowej z basztą, górującą nad ruinami.

Przypatrując się temu wspaniałemu krajobrazowi, po kilkunastu minutach zwróciliśmy oczy

na bliższe nas punkty, na samo rumowisko. Składa się ono z milionów głazów kwarcytowych; ze skały tej utworzone jest, według geologa Puschy, i samo pasmo Łysogór.

Kwarcyty — są to głazy, utworzone z piasku krzemionkowego, zlepionego przez działania metamorficzne w zbitą, ziarnistą masę rozmaitej barwy; w masie tej często występują pojedyncze, większe kryształy kwarcu, miki, spatu polnego a nawet rzadszych minerałów, jak np. amfibol, topaz lub turmalin.

Łysogóry pod względem geologicznym należą do formacji dewońskiej okresu paleozoicznego t. j. pierwszorzędowego; występuje ona na przestrzeni kilkunastu mil kwadratowych, poprzerynana jest w kilku miejscach podługowatemi, równoległemi do siebie szczytami górskimi, należącemi do formacji wcześniejszej jeszcze, sylurskiej.

Czemu przypisać jednak znajdowanie się na północnych stokach Łysogór tej masy kwarcytowego rumowiska, dosięgającej w wielu miejscach kilkunastu łokci grubości, do tej pory niewiadomo dokładnie. Niektórzy przypisują owe zgromadzenie się głazów kwarcytowych — wpływom atmosfery, niszczącym skalisty grunt góry. Wysokość łańcucha Świętokrzyskiego i jego lesistość powoduje, że na szczycie i stokach pada daleko więcej deszczu i śniegu, niż na równinie okolicznej; skutkiem tego jest ciągła wilgoć, powiększana jeszcze przez liczne torfowiska. Wilgoć ta działa niszcząco na skalisty grzbiet, rozłupuje je-

go powierzchnię i tworzy w ten sposób gołoborza.

Inni twierdzą, że to lodowce były przyczyną powstawania rumowisk na stokach Łysogór. Wiadomo, że na początku okresu czwartorzędowego, w tak zwanym podokresie diluwialnym, klimat całej Europy uległ gwałtownej zmianie, stał się bardziej wilgotny i chłodny. Cała wówczas niziną północno-europejską pokryła się jednostajnym lodowcem, na północy dochodzącym do 2 kilometrów grubości.

Lodowiec zsuwając się powoli z gór Skandynawji i Finlandji unosił z sobą odłamki tamtejszych skał granitowych i innych, szlifował je i w miarę topnienia osadzał wraz z gliną i piaskiem na swej drodze. W ten sposób powstały pokłady gliny niebieskiej i liczne głazy naniesione, rozrzucone wszędzie po kraju naszym, tak zwane kamienie błędne, erratyczne. Lodowiec, natknąwszy się na łańcuch Łysogórski, został w swym biegu wstrzymany, zarazem jednak ciężarem swym i siłą rzutu skruszył jego powierzchnię, i te potrzaskane stoki, ten zwał kamieni dzięki lodowcom powstały — to są właśnie gołoborza.

Wracając do Łysicy, gdyśmy już napatrzylili się do syta jedynemu w swoim rodzaju, pięknemu widokowi, jaki się przed nami z jej szczytu rozciągał, zaczęliśmy ostrożnie zstępować po rumowisku ku dołowi. Zejście po głazach odbyło się szczęśliwie, bo tylko kilka razy wpadliśmy między kamienie, stanąwszy niechcący na ruchomą bryłę kwarcytu lub przepaścistą kępkę jakie-

goś mchu, naśladującą do złudzenia powierzchnię głazu zarosłego porostem. Ominąwszy u stóp zwału kilka wielkich mrowisk, wyszukawszy na grzbiecie pasma, wolno ku dołowi opadającym linję leśną, podążyliśmy nią naprzód, ku zachodowi, potykając się coraz o kamienie.

Doszedszy do poręby, nie omieszkaliśmy posilić się poziomkami, a następnie skręciliśmy na prawo, ku dołowi, kierując się w stronę źródła św. Franciszka. Po kilkunastu minutach zobaczyliśmy wśród pni drzewnych szare ściany maleńkiej kapliczki drewnianej, poza którą znajduje się owe źródło. Kapliczka wewnątrz posiada ołtarzyk z figurką św. Franciszka, a w środku jak i zewnątrz masę napisów, które tu zostawić musieli, podobnie jak na wieży Św. Krzyża — turyści, ha, bo jakżeż inaczej uwieczniliby tu swój pobyt?!

Nad źródłem zatrzymaliśmy się na dłuższy odpoczynek, pochłaniając ostatnie resztki zapasów z Huty i popijając je wodą.

Źródło przedstawia się jako okrągłe obmurowane zagłębienie, napełnione do połowy zupełnie przezroczystą wodą, zimną jak lód — ale w lecie tylko, bo w zimie jest ciepła i podobno nigdy nie zamarza. Z piaszczystego, zarosłego nielicznymi wodorostami dna, co parę chwil w różnych miejscach wznoszą się obfite bańki jakiegoś gazu. Woda uchodzi stąd przez umyślnie wykopany kanalik, a następnie ścieka na dół wąwozikiem, tworząc bystry, niewielki strumień, stanowiący jeden z źródłowych dopływów Czarnej Nidy.

Lejkowate obmurowanie źródła tworzy schodki, to też dostęp do wody jest łatwy, pomimo że poziom jej jest o jakieś 5 łokci niżej położony niż poziom lasu.

O siódmej godzinie ruszyliśmy nad brzegiem strumienia, drogą do klasztoru św. Katarzyny.

Sam klasztor przedstawia prawidłowy czworobok. Od frontu, to jest od strony drogi przez wieś, wysmukłe topole zasłaniają białe mury gmachu.

Przed kościołem, po prawej stronie czworoboku, gdy patrzeć od drogi, wznosi się czworokątna dzwonnica, trzypiętrowej wysokości z płaską kopułą z szarej blachy. Przed dzwonnica, klasztor ma jeszcze mieszkalną oficynę frontową, z bramą, prowadzącą na niewielki czworokątny dziedziniec między nią a samym kościołem. Naokoło tego dziedzińca idzie krużganek, z którego wejścia prowadzą do oddzielnych części klasztoru. Przy klasztorze znajduje się obszerny ogród owocowy.

Idąc z lasu, weszliśmy w obręb zabudowań klasztornych, pragnąc posilić się u pobożnych zakonnic.

Wszedźszy do sieni, natknęliśmy się na księdza, kapelana klasztoru. Wyluszczywszy mu prośbę i wkrótce opowiedziawszy swe plany turystyczne, poproszeni byliśmy do pokoju o gotyckim sklepieniu. Tu nam dano dzban mleka i na talerzu kilka kawałków pulchnego, białego chleba. Z największym apetytem zającując tak niespodziewanie spadłą wieczrę, rozmawialiśmy o klasztorze i dalszej drodze dzisiejszej.

Klasztor św. Katarzyny założył w 1478 roku biskup krakowski Jan z Rzeszowa, przeznaczając go dla Bernardynów, w roku 1817 jednakże przeniesione tu zostały z Drzewicy w Opoczyńskim zakonnic Bernardynki — reguły św. Fran-



Klasztor Świętej Katarzyny.

ciszka z Assyżu. Dzisiaj jest ich zaledwie 5. Najmłodsza, matka Brygida Malewicz, liczy już lat 69 a w klasztorze jest 43 lata.

Podziękowawszy uprzejmie gospodyniom klasztornym, z nowym zapasem sił i ochoty ruszyliśmy dalej, kierując się ku Kielcom. Ponieważ do zachodu słońca było jeszcze przeszło pół godziny, odrzuciliśmy zamiar przenocowania tutaj

i ruszyliśmy pod górę, z powrotem na grzbiet Łysogór, lecz w część ich niższą o połowę od Łysicy i niezalesioną.

Bez szczególniejszych wydarzeń i wrażeń znaleźliśmy się po upływie godziny we wsi Krajno, położonej na samym prawie grzbiecie pasma Łysogórskiego.

Słońce skryło swą krwawą tarczę za widnokrąg, gdzieś w okolicy Kajetanowa. Niebo pokryło się purpurą i złotem, ciemniało coraz bardziej. Czerwień zachodu pobrzdziły równoległe do siebie, nisko nad horyzontem wzniesione chmury. Chłód nocy zaczął przenikać, cisza zalegająca coraz więcej w powietrzu, kołysała do snu.

Zmrok był, gdyśmy zapukali do jednej z pierwszych chat Krajna; wprowadzono nas do stodoły, w której na klepisku, mając pod sobą ciemną warstwę słomy, bo siana jeszcze w stodole nie było, a pod głową tłomoczki — położyliśmy się spać, dzwoniąc zębami z braku należytego okrycia i jakoś zanadto chłodnej po tak upalnym dniu nocy.

Ale ktoby zważał na takie drobnostki po przejściu blisko czterech mil kamienistej, górskiej drogi, o chłodzie i głodzie, i kosztem aż 15 groszy!

VIII.

Z Łysogór do Chęcín.

Mroźny, jak na początek lipca poranek, zbudził nas o godzinie pół do szóstej.

Zziębnięci, niebardzo wyspani, bo co jakiś czas budziliśmy się w nocy z powodu zimna, dziękując za nocleg, w duchu zaś trochę dąsając się na właściciela klepiska, wyszliśmy na świat Boży, jakoś niespodziewanie mglisty i pochmurny, i wstąpiliśmy do jednej z chałup na śniadanie.

Gospoia, widząc takich «warsiaskich panów», choć sama dość mało miała dla domu, nie żałowała mleka i zagotowała z pół garnca. Uraczyliśmy się ukropem, wypijając po kubku, cóż kiedy bez chleba, bo za żadne pieniądze nie było tu tego specjału, a to dzięki strasznej biedzie, grasującej jeszcze od «latoś» w tych stronach. Zapłaciwszy za dwie porcje dziesiątkę, ruszyliśmy parę minut po godzinie 6-ej w dalszą drogę, i wkrótce znaleźliśmy się na polu, a właściwie na grzbiecie pasma, stanowiącym tu obszerne pastwisko dla sporych stad owiec, hodowanych w niektórych folwarkach tej okolicy.

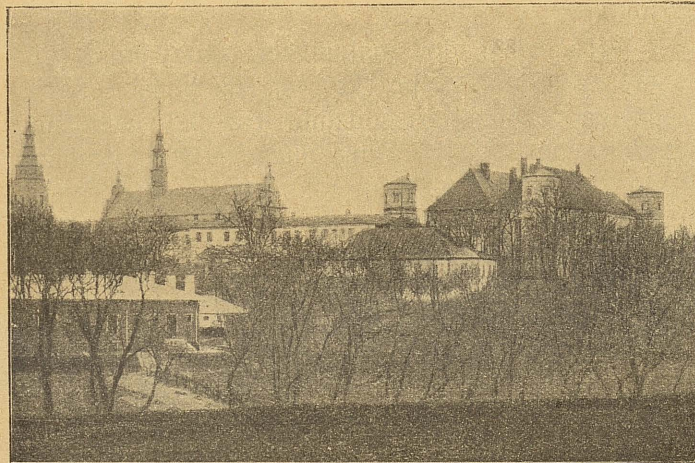
Uszedszy z wiorstę drogi na zachód, rozgrzani gorącym śniadaniem i szybkim marszem, skręciliśmy na południe, spuszczając się wolno ku dołowi drogą, prowadzącą do wsi Bęczków. Poza tą wsią, równoległe do Łysogór, położone jest niewielkie wzgórze o stromych stokach południowych, i u szczytu pokrytych żółtawymi i dość

wielkimi głazami oraz krzakami jałowca. Śród głazów tych odpoczęliśmy z kwadrans czasu. Maszerując dalej, skierowaliśmy się na zachód ku Leszczynom. Do odnowionego niedawno kościołka tej wsi już zaczęli się ludzie z okolicy schodzić na sumę. Nie zatrzymując się, choć deszczyk kropił, szliśmy dalej, śpiesząc ku Kielcom, gdzie spotkać nas miały pierwsze w podróży wygody.

Z Leszczyn nieźle widać wyłomową dolinę Mąchocki, dopływu Czarnej Nidy, która pod Masłowem przedziera się przez pasmo Łysogórskie, dzieląc go na dwa oddzielne grzbiety, wschodni właściwy Łysogórski — i zachodni czyli Masłowski. Grzbiety te prawie zupełnie stromo opadają ku dolinie rzeki, a pokryte gęstym lasem, przedstawiają jedną z ładniejszych miejscowości w tych stronach, podobną do skał Ojcowa, Grodziska lub Pieskowej skały. Za Leszczynami droga prowadzi przez piaszczyste pustkowię, zarosłe na niewielkiej przestrzeni sosnowym lasem i jałowcami. Rzecz dziwna, że jakąś wiorstę na północ od tego miejsca, pomiędzy Mąchocicami, a Kopciową Wolą, po prawej stronie rzeki Mąchocki grunt jest gliniasty i tak wilgotny, że zeszłego roku, idąc tamtędy, omal nie utopiłem się w nim, zapadłszy w jednej chwili po kolana w grzązki, delikatny il, z wierzchu niczym nie zdradzający podobnej topieli.

Brnąc po piasku, dogonieni byliśmy przez jadącego lekką bryczką, jakiegoś obywatela z warszawska ubranego. Zaproszeni przez niego, usadowiliśmy się w pojeździe, i prowadząc oży-

wioną rozmowę, w niespełna godzinę znaleźliśmy się w Kielcach, gdzie ów jegomość — obywatel z Masłowa, wysadził nas przy ulicy Leonarda. Ponieważ dochodziła już godzina jedenaasta, po zjedzeniu śniadania, wyszliśmy na ulicę i zaszliśmy do kościoła św. Wojciecha.



Katedra i pałac Biskupi w Kielcach.

Kościół ten podobno wystawili mieszkańcy tutejszej osady, na pamiątkę pobytu w niej św. Wojciecha, który tędy udawał się w celach misyjnych nad brzegi Bałtyku ku pomorzanom. W roku 1762 na miejscu pierwotnej, drewnianej świątyni, stanął gmach murowany. Godnych uwagi pamiątek w nim niema, chyba obraz z XVI stulecia, umieszczony w presbiterjum, przedstawiający zaśnięcie Matki Boskiej, oraz klęczącą u jej stóp postać biskupią z herbem Habdank. Z zewnątrz kościół

przedstawia się dość pokaźnie, górując nad dachami domów cienką, białą wieżą z blaszaną kopułką.

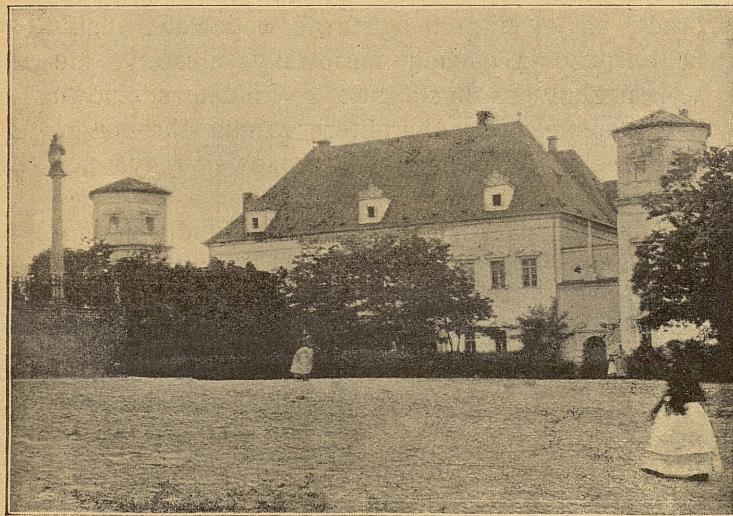
Idąc z kościoła tego Borzęcką (Bodzentyńską) ulicą, wyszliśmy na Rynek. Niegdyś stał tu pośrodku ratusz. Dzisiejszy magistrat, przysłonięty paroma drzewkami od frontu, mieści się w jednej z kamienic na zachodniej ścianie czworoboku.

Wróciwszy do znajomych, zatrzymani byliśmy na obiedzie, po którym, dziękując uprzejmie za gościnę, o godzinie trzeciej wyszliśmy znowu na miasto. Dużą ulicą, najpryncypalniejszą w całych Kielcach, cokolwiek pod górę, ruszyliśmy ku katedrze i byłemu pałacowi biskupiemu — dwum najciekawszym zabytkom.

Katedra pod wezwaniem Najśw. Marji Panny, wystawiona w r. 1171 przez biskupa krakowskiego Gedka, wraz z miastem całym, w którego najwyższym punkcie się znajduje, przechodziła różne koleje i ulegała wielu przeróbkom, dzięki którym straciła swój pierwotny wygląd budowli romańskiej.

Biskup Jan Konarski wystawił przy niej zakrystję z ciosu, następca zaś jego, słynny Piotr Tomicki, w roku 1527-ym wybudować kazał wspaniałą dzwonnice, w której umieszczono olbrzymi dzwon, ochrzczony jego imieniem. Świątynię rozszerzali jeszcze biskupi: Myszkowski Jan Albert, kardynał, i Felicjan Szaniawski. Ozdobiona wewnątrz obrazami Szymona Czechowicza (początek w. XVIII), katedra kielecka posiada również parę ciekawych nagrobków. Na szczególniejszą uwagę zasługuje, wykuty z chęcińskiego marmuru,

nagrobek Elżbiety z Krzyckich Zebrzydowskiej, wystawiony w 1553 roku przez syna jej, biskupa krakows. Andrzeja. Są tu też pomniki biskupów: Szaniawskiego i Andrzeja Załuskiego, obydwa ozdobione malowanemi na blasze portretami tych dostojników.



Były pałac biskupi w Kielcach

Po obejrzeniu katedry, zeszliśmy po kilku kamiennych schodkach ze wzniesienia, na którym stoi, i udaliśmy się zwiedzać, stojący obok, a zasłonięty żywopłotem i drzewami, gmach byłego pałacu biskupiego. Od samego prawie początku istnienia Kielc, miasto to należało do biskupów krakowskich; goszcząc tu nieraz, musieli oni mieć swój dwór, w którymby wygodnie mogli od-

począć po trudach dwudziestomilowej podróży z Krakowa. Biskup Tomicki, rozszerzając kolegiatę, zarazem przebudował ów dwór. Jednak ta przebudowana rezydencja nie musiała być odpowiednią do potrzeb możliwych dostojników, gdyż jeden z następców Tomickiego, kanclerz Rzeczypospolitej — Jakób Zadzik, kazał ją rozebrać i na jej miejscu wystawić wspaniałą, w stylu odrodzenia gmach murowany, niestety, nie wykończony za życia swego fundatora. Nowa budowla nie miała charakteru zamku obronnego, lecz cechy pałacu letniego, czasowej rezydencji jej właścicieli.

Pałac ten przedstawia prawie dokładny jednopiętrowy czworobok z wysokim dachem z czerwonej blachy, opatrzonym trzema facjatkami; po rogach jego wznoszą się sześciokątne baszty, szczątki dawniejszych wież.

Od strony katedry front pałacu ozdabia trójaradowa loggia wchodowa z marmuru, prowadząca do wnętrza. W sali Portretowej, doskonale do dziś zachowanej, mieszczą się obrazy wszystkich biskupów krakowskich do roku 1851. W tejże sali belkowanie sufitu pokryte jest wspaniałymi malowidłami o motywach roślinnych, zwierzęcych i arabeskowych. W innych salach na sufitach są obrazy przedstawiające fakty, społeczne Zadzikowi, jako to: bitwę w r. 1611 pod Smoleńskiem i pożar Troickiej części Moskwy, umowę pod Smoleńskiem w r. 1634, przyjęcie posłów Ferdynanda II w r. 1635 po zawarciu traktatu w Stumdorfie, sejm w r. 1638, na którym Zadzik oskarża Arjanów — i parę innych.

Dziś gmach biskupi mieści rząd gubernjalny, biskup zaś zamieszkuje kamienicę po drugiej stronie katedry, niepozorną, cichą, rzadko kiedy otwierającą podwoje frontowe.

Idąc dalej ul. Dużą czyli dawną Krakowską, minęliśmy po lewej stronie gmach gimnazjum oraz seminarjum duchowne. W seminarjum znajduje się dość ciekawy portret Jana Sobieskiego.

Z Kielc ruszyliśmy traktem krakowskim ku Chęcinom. Tuż za miastem, prawie przy samej szosie wznosi się marmurowa góra — Kadzielnia.

Kadzielnia przedstawia niezbyt wysoką górę okrągłą, w środku prawie wydrążoną przez łomy. Marmur tu wysadzają dynamitem i większą część zwożą taczkami do położonych u stóp góry pieców wapiennych braci Ehrlichów.

Wydobyte z wnętrza góry odłamki marmuru ułożone są gdzieniegdzie w prawidłowe stosy sążniowe. Często spotkać w nich można ładne skamieniałości muszel i innych zaginionych tworów morza, które tu się osadzało, nim jeszcze zaczęły się tworzyć pokłady węgla w zagłębiu Dąbrowsko-Sląskim.

Formacja wszystkich gór w okolicy — dewońska. Jest ona młodszą jedynie od formacji występujących w górach Świętokrzyskich, jak i tamte jednak — należy wspólnie do okresu paleozoicznego t. j. pierwszorzędowego.

Wapień, tworzący Kadzielnę, należy do górnego dewonu i nosi miano koralowego, gdyż powstanie swoje zawdzięcza głównie ówczesnym tego typu tworom. Charakterystyczną muszlą, spotykaną w wapieniu Kadzielni, jest gatunek

Atrypa explanata z gromady ramionopławów (Brachiopoda).

Zwiedzając Kadzielnię, nie przypuszczaliśmy, że za półtora miesiąca stanie się ona przedmiotem ciekawych dysput i rozmów z powodu przypadkowego odkrycia w niej obszernej groty.

Z Kadzielni, mijając zabudowania jakichś fabryk i ogrodzone pola, po przejściu toru kolejowego «wąską ścieżyną, co wije się wstęgą między półkami jęczmienia i żyta» doszliśmy do drogi, prowadzącej na Karczówkę.

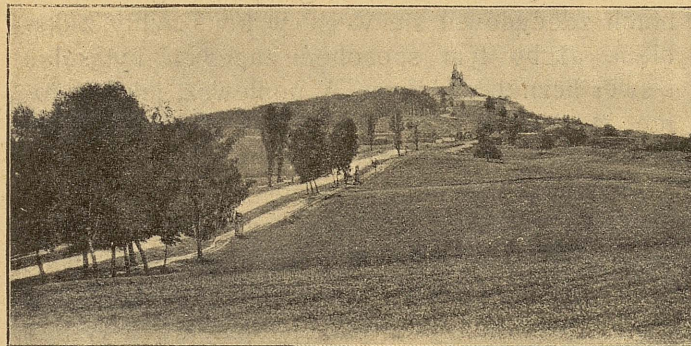
Piękna to droga. Wznosi się lekko pod górę na przeszło dwuwiorstowej przestrzeni, ocieniona po obydwu stronach podwójnym szeregiem drzew, osypana stosami białych szosowych kamieni, między którymi nie rzadko można znaleźć ładną skamieniałość, albo jakiś ciekawy kawałek marmuru.

O godzinie piątej znaleźliśmy się na szczycie góry, pod murami bernardyńskiego klasztoru, co śpiczastą wieżycą swoją wystrzela ponad las sosnowy osłaniający stoki tej góry i błyszczy wokoło lśniącym krzyżem.

Kościół wystawił w roku 1624 biskup krakowski Marcin Szyszkowski.

Wówczas panowała wszędzie w okolicy strasza zaraza morowa. Biskup, troszcząc się o swe ulubione Kielce, złożył był ślub, że jeżeli zaraza ominie to miasto, wystawi kościół na pobliskiej Karczówce. I stało się, że straszliwy gość oszczędził gród biskupi. Szyszkowski, pomny obietnicy, wznosił na szczycie góry kościółek, do którego w cztery lata potem sprowadził z kolegiaty kielec-

kiej relikwie św. Karola Boromeusza, patrona od zarazy, a następnie kościółek ów rozszerzył znacznie i kazał dobudować zabudowania klasztorne, w nich umieścił ojców Bernardynów. Po obejrzeniu kościołka, niewielkiego i nie ciekawego, obeszlśmy korytarze klasztorne, z których są wejścia do celek zakonnych. Zajrzeliśmy też do małej kapliczki, prawie przy wejściu położo-



Karczówka pod Kielcami.

nej, ciekawej ze względu, że w prawym ołtarzu jej mieści się posąg św. Barbary, wykuty z jednolitej bryły rudy ołowianej.

Posąg ten niezbyt artystycznie wyrzeźbiony, posiada 2 łokcie i 9 cali wysokości, a ponieważ psuł się pod wpływem atmosfery, niedawno więc pomalowano go jakąś czarną farbą, mającą zapobiec zniszczeniu... Co prawda, nie przestał być przez to wyobrażeniem św. Barbary, jednakże, nie interesuje on już teraz widza tak jak dawniej, a to dlatego, że nie uwydatnia rodzaju materiału, z którego jest zrobiony.

O pochodzeniu posągu św. Barbary wiele nam mówi tutejsza legiendra górnicza, a fakty, w niej omawiane potwierdza istniejąca do dzisiaj w tej samej kaplicy trochę już zatarta marmurowa tablica.

Legiendra głosi, że żył niegdyś pod Niewachlowem (wieś o 5 wiorst na północo-zachód od Kielc) górnik Hilary Mała, któremu w życiu niebardzo się wiodło, i dlatego po długich wahaniach zdecydował się wejść w konszachty z diabłem, ażeby tym sposobem zapewnić byt sobie i swej licznej rodzinie. A ponieważ, jak wiadomo, w podziemiach, gdzie górnicy pracują, dość jest tylko zejść w opuszczony szyb, pogasić lampki, i odmówiwszy odpowiednie zaklęcia, przeciągle i na cały głos gwizdnąć, ażeby djabeł zjawił się i spytał wzywającego: czego żąda? — więc też Mała uczynił to wszystko, jak potrzeba i oczekiwał skutków. Gdy potężny świst tysiąckroć echem zdołały powtórzyć podziemia, straszliwy szum i chłód, przenikający do głębi, ogarnął zdumionego i przełękłego swym czynem górnika. Aliści wśród gwałtownego trzasku, jakieś pojedyncze światełko zamigotało wokoło, a po chwili ciemności szybu rozświeciły się nieuchwytnym blaskiem. Mała ocknął się z odrętwienia i z największym przerażeniem zobaczył, że wejście do galerji, w którą się zapuścił, zostało zatarasowane olbrzymiami, od góry oberwanymi bryłami czyściutkiej błyszczącej galeny.

Ha! Więc odnalazł skarb, lecz odkrycie to życiem przypłaci. Światło, które mu skarb ukazało, znikło, natomiast Mała zapalił swą latarkę

i przy świetle jej zaczął badać otwór, ciesząc się nadzieją, że może uda mu się jeszcze jakimś cudem wydostać z tego kąta, sprowadzić towarzyszków pracy, i z niemi wydobyć przeklęty, a tak pożądany kruszec. Daremnie jednak silił się wynaleźć drogę z szybu. Lampka mu zgasła. Biedny górnik dopiero wtenczas zwrócił się w inną stronę i... utonął w żarliwej modlitwie. Nie wiedział, kiedy i jak wyniesiono go na świat, jak długo pasował się ze śmiercią, z powodu choroby, której się z głodu i strachu nabawił w podziemiach. To też odkrytych brył Mała nie zatrzymał sobie. Ofiarował, według ślubu, jaki powziął jeszcze w szybie, jedną z nich kościołowi na Karczówce, z drugiej wykuty posąg św. Antoniego posłał do Borkowic, z trzeciej wreszcie bryły Kielce otrzymały posąg Najświętszej Marii Panny.

Cała powierzchnia Karczówki usiana jest lejkowatemi, już zarosłemi murawą dołami. Są to oddawna zasypane otwory szybów, któremi cała góra była w swoim czasie podziurawiona. Wydobywano przez nie obfitą tu niegdyś rudę ołowianą, zawierającą dość znaczną odsetkę srebra.

Rozglądaliśmy się jeszcze z góry jakiś czas wokoło, stąd bowiem, nie mniej wspaniały widok niż z Łysicy, rozciąga się na całą okolicę. U podnóża Kielce, jak różnobarwna mozaika, ścielą się przed nami, sięgając wieżami, kominami i dachami do góry, jakby chciały sprostać otaczającym je górcom; w oddaleniu — gdzieś na wschodnim horyzoncie, jak szaro-niebieska plama, wypukła się grzbiet Łysogórski.

Opodał Kielc, lecz cokolwiek na prawo, uwydatnia się Kadzielnia, a dalej za nią czarniawe góry Dymińskie, lesiste, śpiczaste.

Schodząc znaleźliśmy się wkrótce u stóp góry, wśród pól, kierując się ku Białogonowi, osadzie górniczej, odległej od Kielc o 5 wiorst, a od nas na dwie najwyżej.

Przebrnąwszy błota u brzegów przepływającej tu Silnicy, rzeki, która, spływając z pod Dąbrowy i Masłowa, mętnymi nurtami swemi omywa Kielce i wpada pod Białogonem do Bobrzy, weszliśmy wkońcu na szosę krakowską, następnie zbliżyliśmy się ku grzbietowi gór Dymińskich, przerzniętym poprzecznie doliną rzeki Bobrzy.

Stoki gór spadają tu prawie prostopadle ku dolinie i pokryte są, podobnie jak całe pasmo, gęstym lasem mieszanym. Miejscowość ta — to Słowik. Gęste zarośla, źródelko przezroczystej wody i bystra rzeczka Trupieniec, uprzyjemniają tę okolicę, tak, że miejsce to stało się dla kielczan ulubionym punktem podmiejskich wycieczek świątecznych. I dziś, jako w niedzielę, mnóstwo spacerujących znalazło się tutaj. Przebrnęliśmy wreszcie szosę, w tym miejscu literalnie zastawioną wózkami, dorożkami i powozami, i wyszliśmy na drugą, południową stronę pasma Dymińskiego.

Ciekawe to pasmo pod względem geologicznym. Gdy niezbyt odległe stąd Łysogóry stały już od milionów lat, nieugięte i groźne, jak przystało dla prawie najstarszych skał osadowych, gdy Karczówka, Kadzielnia i Chęcińskie grzbiety formowały się dopiero na dnie dewońskiego morza,

Dymińskie szczyty zaczęły się z niego wynurzać i utworzyły parę drobnych wysepek. Wysepki te niezawodnie skupiły na sobie pierwsze lądowe twory ówczesnego świata organicznego, jakieś pierwotne wije (*Myriapoda*), podobne do dzisiejszych pareczników (*Scolopendra*), pierwsze pająkowate (*Arachnoidea*), jak np. spotykany jeszcze za sylurskich czasów rodzaj *Palaephonus Thoreli*, wreszcie może protoplastów dzisiejszych owadów prostoskrzydłych (*Orchoptera*), a nawet prawdopodobnie półlądowe ryby pancerne w rodzaju *Pterichtes cornutus*. Dziś lasem pokryte, w części swej, Bukówką zwanej, słyną z chmar komarów.

Mieliśmy teraz drogę przed sobą prostą „jak wystrzelił“. W odległości 6 wiorst na wysokiej górze wznosiły się przed nami ruiny zamczyska Chęcińskiego.

Wiorsta za wiorstą mijały nam coraz wolniej. Zamek rósł nam w oczach, choć mgła i mrok zbliżającej się nocy nie dozwalał rysom jego przyglądać się bliżej. Była 9-a wieczór, gdyśmy znużeni blisko sześciomilową, przykrą drogą dzienną, weszli w mury Chęcińskiego grodu.

IX.

Śród gór z marmuru.

Ponieważ pragnęliśmy poznać choć parę kopalni marmuru, wyszedzszy więc rano z miasta, skierowaliśmy się ku północy, pragnąc dojść ku wzgórzom Zelejowskiem.

Minąwszy wilgotne od rosy pola, ścieżką, a potem jakąś drogą, w pół godziny znaleźliśmy się u podnóża marmurowych grzbietów, pokrytych murawą, i wystającymi białymi głazami wapiennymi. Postanowiliśmy wdrzeć się na sam grzbiet Zelejowski i wzdłuż przejść to niewielkie, zaledwie może z półtóry wiorsty mające pasemko. Zaraz na wstępie natknęliśmy się na łomy, opuszczone zupełnie.

Grzbiet tego niezbyt wysokiego, lecz stromo, szczególnie od północy, wznoszącego się wzgórze, przedstawia rumowisko skalne, podobne do Łysogórskiego, z tą różnicą, że głazy tu są wapienne i stanowią wystające części samej góry. Głazy te są poszarpane jakimiś wstrząśnieniami, popękane, zarosłe gdzieś krzewami, które szczególnie na spadzistych stokach północnych rozrosły się bujnie i wytworzyły w wielu miejscach żywą ścianę zieleni, paropiętrowej wysokości.

Szliśmy, przeskakując z kamienia na kamień, to opuszczając się na dół w przejściach przez częste, a wąskie rozpadliny poprzeczne, to drapając się pod górę. Krajobraz samego szczytu przypomina cokolwiek góry Ojcowskie. Widok stąd na pobliskie Chęciny, przylepione u stóp góry, na której dumnie sterczy trójbasztowe zamczysko — wspaniały. Przez rzędną mgłę, widać gęszcz dachów i białe mury kamienic.

Nie przypatrując się zbyt okolicy, podążyliśmy dalej grzbietem na zachód i doszliśmy do nowych łomów. Marmur tu inny: posiada jasnopopielate tło, usiane szaremi i różowymi plam-

kami. Na południowym stoku góry mieszczą się trzecie w tym grzbiecie łomy. Marmur tu ciemny o białych paskach i żyłkach tejże barwy, a także różowych. Ruszyliśmy następnie poprzez pola i mały las liściasty ku górze Zamkowej, opuszczając, choć nie bez żalu, ciekawą Czerwoną górę, z kopalnią miedzi, oraz trochę dalej położoną górę Miedziankę z łomami pięknego, białawego marmuru z czerwono- brunatnymi żyłkami, przerosłego malachitem i lazurem miedzi. Pominęliśmy też łomy we wsi Skiby, w których kopią marmur popielaty z żyłkami białymi, różowymi i ciemno-czerwonymi.

Minąwszy szosę Krakowską, która tu pasmo Chęcińskie dzieli na dwie części, zaczęliśmy drapać się na górę Zamkową. Znaczny spadek zmuszał nas w paru miejscach do pomagania sobie nawet rękami tam szczególnie, gdzie kij nie wystarczał.

Bramą czy też furtą do wycieczek, dźwigającą na sobie wielką czworokątną basztę, weszliśmy w mury zamku.

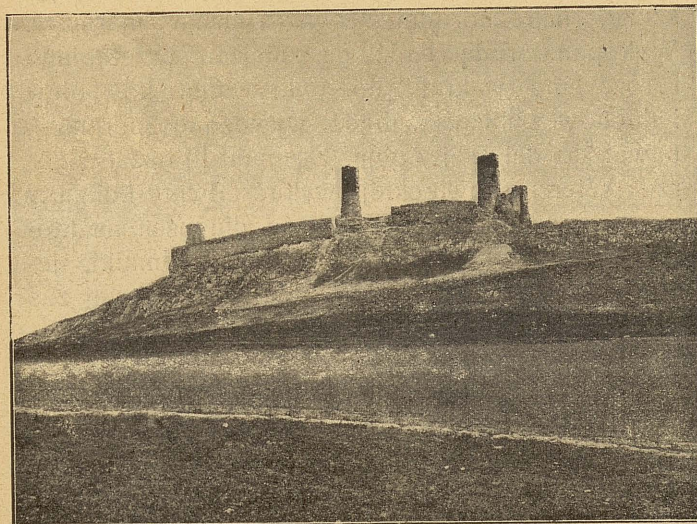
Zastosowany do kształtu tej 360 metrowej (nad poziom Bałtyku) góry, wyciągnął się on w podłużny, dość wąski wielobok. Oprócz baszty, pod którąś przeszli, pośrodku murów wznosi się druga, okrągła wieżyca i resztki okien na piętrze. Na wschodnim krańcu wybuja w górę druga baszta okrągła, a po za nią wielkie mury bramy wjazdowej, opatrzonej sklepieniami po bokach niszami. Od bramy kręta, wykuta w górze droga prowadzi ku miastu, które się u dołu pokornie umieściło.

Kiedy i przez kogo założoną została Chęcińska warownia — niewiadomo. Przypuszczają, że już za Bolesława Chrobrego musiał być w tym miejscu zameczek, do którego chroniła się okoliczna ludność w czasie najazdów wroga. Ale w historii zamek ten datuje od XIV stulecia, służąc za rezydencję wdów lub matek monarchów; a również, jako niezdojta forteca, — za więzienie stanu i miejsce przechowywania skarbów koronnych. Tu podobno roku 1318 Łokietek ukrył skarby kościelne z Gniezna przywiezione, później zaś, w r. 1331, jak utrzymuje Lelewel, tu zwołał pierwszy wiec — zawiazek przyszłych sejmów Rzeczypospolitej. Z zamku też Chęcińskiego, po uchwaleniu ważnych ustaw, liczne zastępy rycerstwa polskiego udały się pod Płowce, gdzie laury zwycięstwa miały ich skronie uwieńczyć. Tutaj przemieszkiwała Elżbieta, siostra Kazimierza Wielkiego, sprawując rządy w Polsce w imieniu małoletniego syna swego Ludwika. Na zamku Chęcińskim Jagiełło więził trzy lata przyrodniego brata swego Andrzeja Wingolda, tu też odsiadywał więzienie wzięty do niewoli Michał von Sternberg, Wielki Mistrz Krzyżacki. Wreszcie słynna królowa Bona przechowywała tu swoje miljonowe skarby i wyniosła się stąd do Włoch roku 1554, opuszczając bezpowrotnie i bez żalu Rzeczpospolitą.

Za czasów Jana Kazimierza, w r. 1657, Rakocy spalili zamczysko, a miasto złupił doszczętnie. Wreszcie w roku 1707 napad Karola XII zniszczył do reszty budowlę, która już odtąd służyła przez jakiś czas jedynie na pomieszcze-

nie sądu i kancelarii miejskiej, a potem zupełnie opustoszała.

Obok zamku, u podnóża wyniosłej góry, na której się wznosi, zbudowało się spore miasteczko, liczące 9,000 mieszkańców, w tej liczbie $\frac{2}{3}$



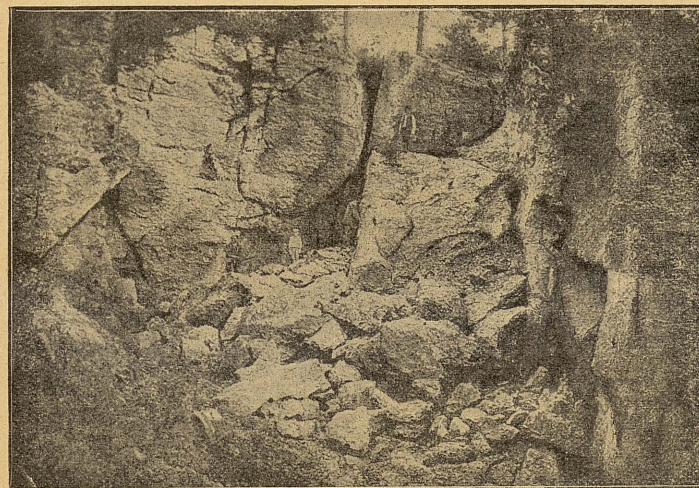
Zamek w Chęcinach.

żydów, liczące. Już XIV stulecie znało tutejsze kopalnie ołowiu, toteż królowie polscy, pragnąc rozwoju górnictwa w tych stronach, nadawali liczne przywileje i prawa, na wzór olkuskich, mieszkańcom Chęcin, chcącym zajmować się wydobywaniem rudy. Rośli też oni w dobytek — ale, niestety, zebrane bogactwa i okazałe domostwa ich niszczone były przez częste i straszne pożary. W XIV wieku kopalnie tutejsze należa-

ły do możnego krakowskiego rodu Bonarów i musiały rozwijać się pomyślnie, jeżeli przynosiły nieraz rocznie czystej intraty 70,000 złotych, co stanowi na dzisiejsze czasy przeszło 42,000 rubli. Kopano w nich, prócz ołowiu, miedź i srebro, malachity i lazury, a także, jak i dzisiaj jeszcze, najróżnorodniejszego rodzaju marmury. Wykopaną rudę bądź na miejscu przetapiano i rozsyłano w kraju do pokrywania kościołów i dachów zamczysk, bądź wywożono zagranicę, nawet do dalekiej Anglii. Zygmunt III kazał w górze Wierzmanowieckiej wykuć dwie kolumny marmurowe, każda po 38 stóp długości, na których miał postawić w Warszawie pomniki, jednakże jedna z tych kolumn pękła, z drugiej zaś dopiero syn jego, Władysław IV wystawił w roku 1643 posąg ojca, stojący majestatycznie do dzisiaj na placu przed Zamkiem. Wierzmanowiecką górę od tej pory zowią Zygmuntofską. Chęcińskie kopalnie marmurów w początkach XIX wieku na jakiś czas się ożywiły, lecz wkrótce znowu upadły i dziś są zupełnie w zaniedbaniu, choć niedawno powstała «Kielecka fabryka marmurów» stara się nie dopuścić do zupełnego ich opuszczenia.

Godne uwagi zabytki, Chęcińskiego grodu są: więzienie, kościół parafjalny, klasztor pp. Franciszkanek, zwanych tu Klaryskami, ratusz i bóżnica. Więzienie stanowią zabudowania poklasztorne, w tym miejscu bowiem roku 1338 Kazimierz Wielki wybudował kościół i osadził przy nim ojców Franciszkanów. Klasztor ten w r. 1586 zajęty został przez kalwinów i odarty

był ze wszystkiego, a nawet zniszczony. Ale Zygmunt III zwrócił ruiny budowli prawym właścicielom i ci na nowo do porządku doprowadzili gmachy, które odtąd, wraz z miastem całym podlegały jednakowym losom i od roku 1817 stały się miejscem karnym pobytu przestępców.



Kopalnia marmurów pod Chęciami.

Kościół parafjalny dość wysoko stojący na stoku góry pod zamkiem, zbudowany był na przełomie XIV i XV stulecia w stylu pięknego gotyku, który, jak zwykle u nas, został bardzo zepsuty przez późniejsze nieumiejętne przeróbki. Za panowania Zygmunta Augusta, a za starostwa Stanisława Szafrąncza — oddany został kalwinom i dopiero w roku 1603 zwrócili go oni katolikom na rozkaz Zygmunta III. Wewnątrz

świątyni znajduje się ciekawy, z marmuru i alabastru wykuty ołtarz, wyobrażający Ukrzyżowanego Chrystusa, pod nim rzeźba, przedstawiająca pokłon Trzech Króli. Ołtarz ten i przyległą kaplicę fundował wójt tutejszy, Fotyga, którego ciało wybornie zachowane spoczywa od r. 1680 pod kaplicą. W zakrystji też przechowuje się srebrna monstrancja z roku 1638 i starożytny kielich.

W klasztorze Klarysek, zbudowanym przez niejaką Klarę Grędoszewską w roku 1643, żyją obecnie już tylko dwie ostatnie zakonnice.

Zaczęliśmy schodzić powoli na dół, południowym, stromym stokiem góry, prawie prostopadłym, a osypanym okruchami głazów, tak z zabudowań zamkowych jak i z samej góry marmurowej. Szosa Krakowska za górą kręto podąża na południe, wymijając początki górskiego, zalesionego pasma, które ciągnie się od wsi Podzamcze do Bolmina pod Małogoszczem, a nawet dalej na zachód. Podzamcze posiada bramę, wystawioną podobno na pamiątkę przejazdu tędy z pod Wiednia króla Jana III, oraz dwór starościński, bo choć starostowie wybudowali sobie pałac w mieście przy rynku, na którego miejscu dziś zbudowany jest magistrat, to jednakże gospodarstwo woleli prowadzić w sąsiednim, o półtorej wiorsty zaledwie położonym Podzamczu. A było to nielada gospodarstwo właściciela takiego starostwa jak Chęcińskie! Prócz miasta, zamku, do starostwa tego należało 21 wsi okolicznych i wszystkie w tych stronach kopalnie kruszców i marmurów. O starostwo to zawsze wielu się

staralo, a niestety, raz tylko nadane było istotnie jako «*panis bene merentium*» t. j. chleb dla zasłużonych — znakomitemu Stefanowi Czarnieckiemu. Ostatnim właścicielem był Bogumił Załuski, któremu sejm w roku 1775 nadał je, z wyjątkiem wsi Brzegi, ta bowiem dostała się kasztelanowi Iłzeckiemu — Wojciechowi Kluszewskiemu.

Na północnym stoku, w zachodniej stronie pasma, o którym wyżej wspomniałem, leży wieś Korzecko, opodal której kopią marmury barwy krwawej z białymi kropkami. Na podzamczu samym, podobnie jak w górze Zamkowej, łomy dają twarde marmury dwu odmian: jedna barwy wiśniowo-różowej, druga nieco jaśniejsza, przechodzi w kolor popielato-wiśniowo-brunatny.

W dwie godziny po opuszczeniu ruin Chęcińskich przeszliśmy most na rzece Nidzie, płynącej tu dość szerokim korytem, i wkrótce, niezbyt daleko od toru kolei Iwangrodzko-Dąbrowskiej, przecinającej tu, na drodze naszej podróży, już trzeci raz szosę Krakowsko-Warszawską, wśród maleńkiego lasu, trochę odpoczęliśmy.

X.

Od Nidy do Nidzicy.

Po przejściu toru kolejowego minąwszy kilka wsi i wielki las owocowy, weszliśmy do Jędrzejowa.

Osada ta, zwana dawniej Brzeźnicą, jak rzeczka (dopływ Nidy), nad którą jest położona, liczy dziś przeszło 6,000 mieszkańców. Założona

w końcu XI stulecia, należała do rodziny Gryfów, z której bracia Janisław i Klemens w roku 1111 sprowadzili gdzieś z Burgundji Cystersów i dla nich wystawili tu w roku 1149 klasztor. Osada posiada też były kościół parafjalny, wystawiony jeszcze w roku 1130 przez Bolesława Krzywoustego, i kościół pod wezwaniem Świętej Trójcy. Ten ostatni zniszczony w czasie wojen XV wieku, a odbudowany okazale przez Mikołaja Odrowąża, dziś istnieje jako kościół parafjalny, zszpecony przeróbkami późniejszymi.

Z klasztoru pozostały dziś ruiny, a część tylko zabudowań obrócona jest na pomieszczenie seminarjum nauczycielskiego. Zato kościół utrzymał się w całej okazałości. Zbudowany z ciosu, pokryty miedzią, sięga wysoko w górę dwiema jednakowymi wieżami. Po lewej stronie posiada wielką, masywną dzwonnice, przylegającą do murów, które, wystawione przez Konrada I Mazowieckiego, otaczają do dziś wszystkie zabudowania poklasztorne. W romańskiej tej budowli, zaliczonej do najpiękniejszych i najdawniejszych w Polsce, w jednej z kaplic znajduje się w ołtarzu metalowa trumna ze zwłokami błogosławionego Wincentego Kadłubka, który tu zmarł w roku 1223. Ciała tego świątobliwego zakonnika utrzymywana jest do dzisiaj i pokazywana turystom. Klasztor Jędrzejowski Cystersów, aczkolwiek ulegał przeróbkom, jednakże zachował w znacznej części swą postać pierwotną. Odnowiony gruntownie po 709 latach istnienia i (w roku 1858) dziś swym kształtem i ogromem interesuje już zdaleka każdego przechodnia.

Jędrzejów przemianowany został z osady na miasto w roku 1271. Mając nadane znaczne przywileje, rozwijał się pomyślnie, choć nieraz ciężkie przechodził koleje. W roku 1800 wielki pożar pochłonął część miasta i spalił cenną bibliotekę, znajdującą się przy kościele, jednakże



Klasztor cystersów w Jędrzejowie.

miasto szybko się odbudowało i dziś coraz pomyślniej się rozwija i bogaci. W historii Polski Jędrzejów gra niewielką, lecz dość godną uwagi rolę. Tu, 18 stycznia roku 1576, zjazd rycerstwa uchwalił wybór Stefana Batorego na tron polski. Tutaj też w roku 1607 zjazd rokoszan pod wodzą Zebrzydowskiego wypowiedział ostatecznie posłuszeństwo królowi Zygmuntovi III.

Po zwiedzeniu miasteczka wyszliśmy poza zabudowania osady i szosą Krakowską podążaliśmy na południe w dalszym ciągu zdążając na

nocleg do wsi Nieszawy. O 10 g. wieczorem byliśmy na miejsku.

Na drugi dzień rano po przejściu trzech wiorst znaleźliśmy się we wsi Klemencicach.

W Wodzisławiu, osadzie o ludności niespełna pięciotysięcznej i w $\frac{3}{4}$ żydowskiej, znaleźliśmy się o godzinie pół do dziesiątej.

Założona za czasów Władysława Łokietka, istniała jako miasto w posiadaniu rodu Lanckorońskich, którzy tu nawet około roku 1550 wybudowali zamek, zamieniony później na pałac.

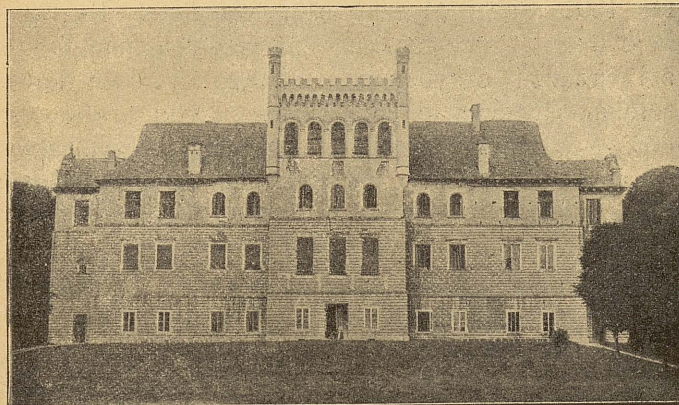
Miasto rozwijało się pomyślnie i dopiero napływ Żydów w XIX stuleciu zubożył je i wstrzymał w postępie. W r. 1787 zbudowano tu piękny murowany kościół parafjalny na miejsce pierwotnego, spalonego. W kościele znajdują się ładne grobowce Lanckorońskich, a w podziemiach przechowują się starożytne trumny metalowe. Miasteczko leży w dolinie, gdzie schodzą się dwie źródłowe strugi rzeczki Mozgawy (dopływ Nidy).

Po przejściu paru brudnych uliczek, mineliśmy Wodzisław i położoną za nim zaraz wieś Świątniki. Szosa biegnie stąd prosto na południe około 5 wiorst i zbacza dopiero na zachód, przecinając las, należący do ordynacji pińczowskiej.

Za lasem, w odległości 2 wiorst, leży Książ Wielki. Osada, ta, dawniej miasteczko, położona nad rzeką Nidzicą (dopływ Wisły), należy do starożytniejszych w Polsce. Istniejąc już w końcu XI wieku, w XII była własnością Stefana herbu Topór, wojewody krakowskiego, a przodka rodu Tęczyńskich. W XIV stuleciu Spytko z Melsztyna, 18-letni wojewoda krakowski stawia w niej

opór Ziemowitowi Mazowieckiemu, żadnemu tronu wielkoksiążęcego. Po Tęczyńskich, którzy do XVI wieku władali miastem, Książ stał się kolejno własnością: Bonarów, Myszkowskich i Wielopolskich. Do ostatnich należy dzisiaj.

W miasteczku, położonym wśród pagórkowatej,



Zamek w Książu Wielkim.

przyjemnej okolicy, znajduje się parafjalny kościół z ciosu, zbudowany w roku 1380, a w XVIII stuleciu przebudowany; prócz tego kościół św. Ducha po-augustjański, zbudowany w roku 1381 przez Spytkę z Melsztyna i odbudowany po pożarze (1741) w roku 1886.

Za Bonara w Książu odbywał się synod kalwiński. Kalwini mieli tu wówczas swój zbór, przerobiony z kościoła, ale w r. 1570 zostali usunięci i kościół zwrócono katolikom. Panowie Książa wybudowali tu sobie zamek, w XVII w. prze-

mieniony na pałac, istniejący jeszcze i ładnie uwydatniający się we wschodniej części miasteczka, zwanej Mirowem, z pośród otaczającej go zieleni ogrodów.

Pałacu nie chcieliśmy zwiedzać, pomimo że zawiera podobno wiele ciekawych rzeczy, natomiast przyglądaliśmy się uważnie okolicy. W roku 1601 Piotr Myszkowski, właściciel Książa Wielkiego, z miasteczka i przyległych majątności urządził ordynację. Brat jego Zygmunt, kasztelan oświęcimski i marszałek wielki koronny, otrzymawszy w darze tę ordynację, przyłączył do niej Pińczów i przemianował ją na ordynację Pińczowską. Będąc posłem Zygmunta III do Włoch, Zygmunt Myszkowski został przyjęty do herbu i familji przez księcia Mantui, Gonzagę, oraz przez papieża Klemensa VII obdarzony tytułem margrabiego. Ponieważ ostatni z Myszkowskich, Józef, zmarły w 1727, nie zostawił synów, ordynacja przeszła po córkach na Wielopolskich, którzy też dla tego tytułują się margrabiami Gonzaga-Myszkowskiemi. W kaplicy pałacowej w Książu znajduje się pomnik Aleksandra hr. Wielopolskiego, naczelnika rządu cywilnego w Królestwie Polskim przed powstaniem 1863 r.

Za Książem, kierując się ku Miechowskiemu tunelowi, skręciliśmy na zachód i minawszy wieś Mianocice, po za którą na wzgórzu rozciąga się las bukowy, doszliśmy do Rzędowic.

Minawszy wieś Przybysławice, drogą wśród łąnów wspaniałego, dojrzewającego już żyta, szliśmy śpiesznie coraz bardziej zwężającym się jarem, zarosłym zielskami i krzewami; doprowadził

nas on do toru kolejowego, idącego półkolem po niewielkim nasypie, wśród łagodnych, dość wysokich wzgórz lössowych, rozłożonych tu w czworobok, od Książa do Tczycy, na gruntach górnego piętra formacji kredowej.

XI.

Pod murami trzech zamczysk.

Idąc po nasypie, w niespełna kwadrans czasu znaleźliśmy się u czeluści Miechowskiego tunelu. Jedyny to okaz w Królestwie. Przerzyna na przestrzeni 813 metrów spore wzgórze, zarosłe krzakami i podobno ufortyfikowane. Ruszyliśmy w głąb tunelu, przygotowując się schować w jednej z nisz, jakie się po obu stronach znajdują, jeżeli by nas pociąg tam doścignął. Otwór, którym weszliśmy w czeluść, zmniejszał się coraz bardziej, przeciwległy zaś prawie nie zdawał się powiększać. Największe wrażenie sprawia znajdowanie się pośrodku tunelu. Obydwa otwory przedstawiają się wówczas jednakowo, o wielkości zaledwie małego lufcika.

Koło 13 minut straciliśmy na przejście tunelu. Pył węglowy, jaki się obficie unosi w tunelu, ponieważ dym z maszyn nie może przez otwory wydostać się na zewnątrz, pokrył nas cienką warstewką i osuszył gardła.

Była godzina 6-ta po południu, gdyśmy, skręcili drogą na prawo, przez mieszany liściasty zagajnik, kierując się ku wsi Uniejów, z pod której wypływa Uniejówka, pierwszy z większych do-

plywów Pilicy. Za Uniejowem, minawszy zabudowania jakiegoś folwarku, weszliśmy w pola i rozdoły i po trochę niewygodnej przeprawie przez błotnistą strugę, dostaliśmy się do wsi Tczyca.

Rano ruszyliśmy ku wsi Wierzbie, poza którą skręciliśmy na północ.

Szliśmy teraz pagórkowatą granicą dwóch formacji: jurskiej i kredowej.

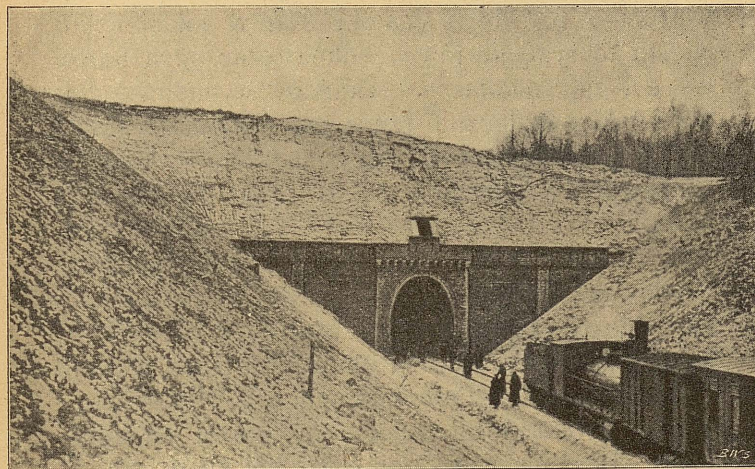
Górne pokłady kredowej formacji ciągną się w tych okolicach wzdłuż rzeczki Uniejówki i Pilicy wązkim pasmem, stanowiącym ogniwo, łączące dwa większe obszary. Obszar południowy, mniejszy, w formie mniej więcej prawidłowego trójkąta, rozciąga się od Tczycy przez Miechów i Raclawice na wschód i do Słomnik na południe. Północny — poprzerynany jest w północno-wschodnich częściach dyluwjalnymi piaskami i piętrami miocenu, a rozpostarty między Włoszczową, Buskiem, Stopnicą, Nowym Miastem Korczynem i Szczekocinami.

Formacja jurska, zwana też wprost Jurą występuje tutaj na znaczniejszych jeszcze od kredowej przestrzeniach. Stanowi ona szerokie od 4 do 6 mil pasmo, ciągnące się z pod Krakowa na północo-zachód do Częstochowy i Wielunia.

Przeszliśmy przez wsie Chlin i Udorz nad Pilicą. Rzeka ta płynie tutaj szybkimi nurty kilkanaście odnogami parolokciowej zaledwie szerokości, zarosłemi sitowiem i tatarakiem. Za Udo-rzem, nie dochodząc wsi Sławniów, mamy, tak jak w położonej obok wsi Wierbce — wielką papiernię, założoną przez przemysłowca Moesa, Po półgodzinnym marszu, zmęczeniu i osypani

białym pyłem Żarnowieckiej szosy wapiennej, weszliśmy w mury starożytnej, bo przedhistorycznych czasów sięgającej siedziby.

Pilica czyli Pilcza albo Pilca, jak ją niegdyś zwano, jest sobie miasteczkiem, o sześciu nie-



Tunel pod Miechowem.

pełna tysiącach mieszkańców, w $\frac{3}{4}$ Żydów, położonym wśród przyjemnych marglowych pagórków, prawie u źródeł rzeki Pilicy—wasalki Wisły. Kiedy miasteczko to założone zostało — niewiadomo. O starożytności jego świadczy jednak krypta w jednym z kościołów, na której wyryty jest rok 1089, oraz wykopywane tu z przedhistorycznych cmentarzysk urny. Pierwszemi znanymi właścicielami Pilicy byli piszący się od niej Pileccy. Rodzina ta zanotowała się w dziejach Polski, dzięki jednej ze swych przed-

stawicielek, mianowicie Elżbiecie, którą wziął sobie za żonę w roku 1417 Jagiełło. Po Pileckich panami osady stali się Padniewscy, następnie Wesslowie, wreszcie wspomniany już raz Moes, a po nim Epstein i obecnie Arkuszewski.

Najwięcej do rozwoju Pilicy przyczynił się właściwie p. Moes. Założył on w miasteczku wielką fabrykę kortów i sukna, oraz młyn parowy, a dbając o dobro mieszkańców, wybudował dla nich tak pożyteczną rzecz jak wodociągi.

Miasteczko posiada trzy kościoły i kaplicę przy szpitalu, wybudowaną w roku 1629 przez księcia Józefa Zbaraskiego, a także kościół ewangelicki i drewnianą synagogę oryginalnie zbudowaną. Kościół parafjalny pod wezwaniem św. Jana Chrzciciela, z ciekawą, ozdobioną herbami facjatą, zbudowany przez Pileckich w XIV stuleciu, a przez Padniewskich w XVI restaurowany, w roku 1614 zamieniony został na kolegiatę. Posiada parę starożytnych nagrobków, między którymi na uwagę zasługuje niewielki renesansowy pomnik małej Pileckiej z wrytym rokiem 1525, oraz nagrobki Mikołaja i Agnieszki Padniewskich. W zakrystji tej świątyni przechowują się bogate i piękne aparaty kościelne, ofiarowane kolegiacie przez Jana Sobieskiego.

Drugi kościół — Imienia Jezus, z klasztorem etatowym Reformatów, wybudowany przez Marię Józefę Sobieską w roku 1739, nie przedstawia nic ciekawego dla turysty, natomiast trzeci, maleńki, pod wezwaniem św. Piotra i Pawła, posiada ową z roku 1089-go kryptę, — najstarszy zabytek miasteczka.

Przeszedzsy parę ulic, znaleźliśmy się na drodze do Ogrodzieńca. Na lewo przed nami, na wzgórzu, zarosłym gęstwiną drzew, ukazały się oczom naszym mury zamku Pileckiego. Założony w XII stuleciu, a odrestaurowany roku 1616 przez Stanisława Padniewskiego, ulegał on, jak i całe miasteczko, różnym kolejom losu. W r. 1655 Szwedzi zburzyli tę budowlę. Teodor Wessl dopiero, żonaty z córką królewicza Jakóba Sobieskiego, pozostawiając część murów i wałów dawnej warowni, wystawił wspaniały pałac. Ale i nowa budowla nie długo była siedliskiem właścicieli Pilicy. Opuszczona i ręką czasu niszczona, chyliła się ku upadkowi i przemieniłaby się niezawodnie w stos gruzów, gdyby nie Moes, który kazał zamek odrestaurować i uczynić na nowo mieszkalnym.

Chcieliśmy okrążyć zamek i dostać się do wnętrza. Uskuteczniłmy to dość szybko, bo mieliśmy dziś jeszcze zwiedzić Ogrodzieniec i dojść na nocleg do Strzegowy za Smoleniem.

Do Ogrodzieńca doszliśmy o pół do siódmej. Na górę Zamkową, leżącą już w obrębie Jury brunatnej, wdarliśmy się szybko, wymijając kilka prostopadłych wapniowych białych skał. Na jednej z nich, w wykutym zagłębieniu, jest dość duży obraz M. B. Częstochowskiej. Po kilku minutach znaleźliśmy się na wielkim dziedzińcu zamkowym.

Budowla ta przedstawia się ciekawie. Właściwy zamek wznosi się na zachodniej stronie wzgórza w postaci czworoboku; obok miejsca, w którym się znajdujemy, przedstawia się pola-

manym w najdziwniejsze zakręty, stosownie do kształtów skalistego fundamentu. Dziedziniec, wielkości kilku morgów, jest właściwie pagórkowatym szczytem góry, pokrytym murawą, okolony z jednej strony przez właściwy zamek, z pozostałych stron przez wysokie na kilkanaście łokci mury, łączące śpiczaste skały liczne tu bardzo.

Z wejścia do wnętrza murów pozostał dziś tylko wielki wylom; zato cała z ciosu brama wjazdowa z dziedzińca do właściwego zamku, niska i wązka, o pięknym renesansowym łuku sklepienia, zachowała się mniej więcej dobrze. Umieszczona nad nią marmurowa tablica, złotymi, głęboko rytemi zgłoskami opisuje po łacinie czyny swego fundatora, ale ponieważ chłopcy, pasący bydło na dziedzińcu zamkowym, często biorą ją za cel swych pocisków kamieniami, więc też zniszczona jest bardzo.

W głębi gmachu zamkowego znajdują się dwa jeszcze podwórza, z których są wejścia do piwnic i baterji, wykutych w fundamentach. W górę, po nad mury, wystrzelają dzisiaj ku niebu dwie baszty okrągłe i czworokątna wieża znacznie niższa. W baszcie, którą przecina u dołu brama wjazdowa, znajdowała się kaplica zamkowa, na murach jej pozostały jeszcze do dzisiaj ślady malowideł al fresco.

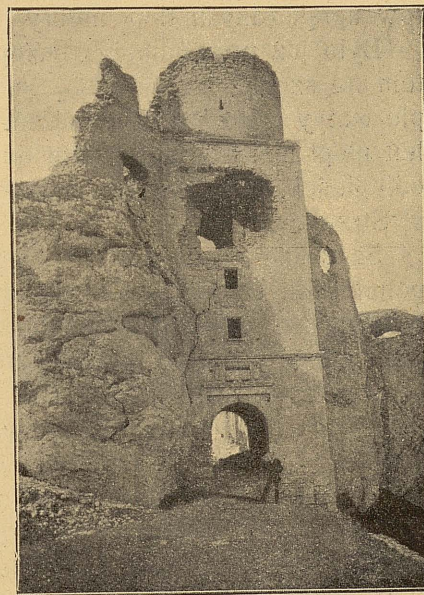
Już podobno za Krzywoustego, na wysokiej tej i skalistej, a więc obronnej z natury skale ogrodzienieckiej, stała drewniana twierdza. W końcu XIV stulecia, jak utrzymuje Długosz, miasteczko Ogrodzieniec, wraz z dobrami okolicznymi i zamkiem należało do osiedlonej tu

oddawna rodziny Włódków. Po nich Ogrodziemcem władali mieszcianie krakowscy Salomonowicze, po tych zaś Pileccy, ciż sami, do których należała położona zaledwie o milę stąd Pilica. Od Pileckich majątność tę nabył Jan Bonar, mianowany w r.

1516 przez Zygmunta Starego burgrabią krakowskim. Syn jego, Seweryn, starosta i kasztelan biecki, rabsztyński i sandecki, właściciel żup olkuskich i krakowskich — gruntownie przebudował zamek Ogrodzieniec i po 20 latach restauracji, w roku 1540, kazał go jako skończony, poświęcić.

Tenże Seweryn Bonar od cesarza Ferdynanda I-go otrzymał tytuł barona na Ogrodziemcu.

W kilkanaście lat po przebudowie, zamek ogrodzieniecki, jako posag córki Seweryna Bonara, Zofji, przeszedł do rodziny Firlejów, od tej zaś znów w jakiś czas do Warszzyckich. Ci ostatni sprzedali budowlę Męcińskim, ci znów całe do-



Brama wjazdowa w Ogrodziemcu.

bra Jakielskim. A że ostatni właściciele, jak i ich następcy, Mieroszewscy, nie dbali bynajmniej o zachowanie tej pamiątki, zamek pustoszał, niszczył się — i pozostał dziś w stanie godnym politowania, w gruzach. Pomimo to imponuje ze swego majestatu ogromem i dziwactwem kształtów upiększonych tłem natury.

Było już po siódmej, gdyśmy ruszyli z powrotem na szosę, kierując się ku Pilicy, ponieważ pierwotny nasz zamiar pójścia wprost na Smoleń uległ zmianie, z powodu dużej do wioski tej odległości. Zdążyliśmy na nocleg do proboszcza w Strzegowej.

Szosa za Pilicą skręca ciągle na prawo ku południowi. Uszedszy nią przeszło 3 wiorsty, znaleźliśmy się w Smoleniu, ponieważ jednak noc już zupełna zapadła, musieliśmy do drugiego dnia odłożyć zwiedzanie ruin.

7 lipca po godzinie 10-ej wyruszyliśmy z plebanji, kierując się z powrotem na północ do Smolenia, gdzie też znaleźliśmy się w niespełna 40 minut. Po przedarciu się przez gąszcz na stoku góry zamkowej (476 metrów), zobaczyliśmy przed sobą ruiny muru, dochodzące do wielkiej okrągłej baszty. Obeszliśmy ten niewielki na bardzo śpiczastej górze stojący zameczek, nie mogąc wejść wewnątrz, bo nie było wstępu, i nie mogąc znaleźć studni czy jaskini, w której podobno, jak podanie ludowe głosi, w noc Bożego Narodzenia o 12-ej godzinie niewidzialny zegar wybija godzinę.

Smoleń należał podobno do dóbr ogrodzieńskich, a zamek wystawić miał Seweryn Bo-

nar. Z trzech części składało się to zamczysko. Dwie dolne przylegały do skał góry, trzecia wznosiła się na szczycie. Z niej to, z górnych otworów baszty, rozglądano okolicę w promieniu kilku mil, z niej to porozumiewano się znakami umówionymi z zamkami: Ogrodzieńcem i Pilicą. Ze Smolenia skierowaliśmy się ku południowi, chcąc na wieczór zdążyć do wsi Sułoszowej, z pod której wypływa Prądnik. Droga szła przez las, później przeszliśmy wsie Domaniewice i Lgotę Wolbromską, gdzieśmy się posilili zsiadłym mlekiem i chlebem.

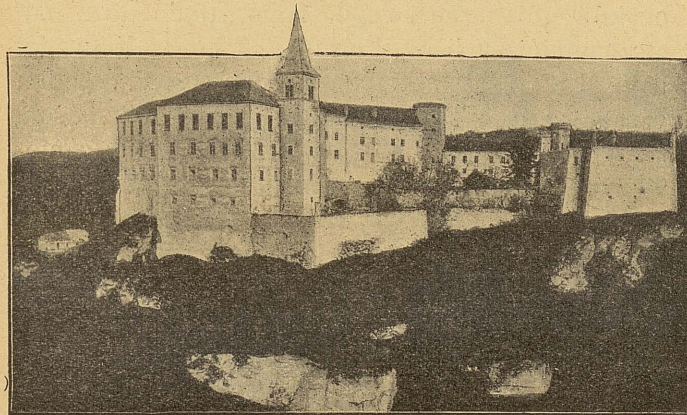
O pół do czwartej przeszedłszy po raz piąty w czasie swej podróży tor kolei, wstąpiliśmy do położonej na wapnistym wzgórzu wsi Gołaczowy. Równolegle z torem podąża na zachód szosa z Wolbromia do Olkusza i wypływająca gdzieś z pod Wolbromia Biała Przemsza. Trzy te linie komunikacyjne ciągną się po płaskowzgórzu, jednym z najwyższych w Królestwie. Droga za wsią Jangrotem prowadziła raptownie na dół, a ponieważ między nią a Sułoszową leży kilka równoległych do siebie grzbietów, pokrytych łąkami dojrzewającego zboża, więc też szliśmy to z góry to pod górę, jakby po olbrzymich, zamarzłych raptownie falach oceanu. Zciemniało się już, gdyśmy, po uciążliwej czteromilowej podróży, znaleźli się w Sułoszowej, olbrzymiej, bo 6 wiorst blisko długiej a 5000 mieszkańców liczącej wsi. Przenocowaliśmy na plebanji.

Nazajutrz o 9-ej rano, wyruszyliśmy ku Pieskowej Skale, z biegiem Prądnika, coraz więcej rozszerzającą się doliną Sułoszowską. Po prze-

ściu blisko wiorsty, wśród pokrytych w niektórych miejscach lasem, najeżonych groźnie skał po obu stronach drogi, mijając po jednej stronie zarybiony staw, znaleźliśmy się u stóp zamczyska. Sterczy ono na wyniosłej skale, (480 metrów nad poziom morza) — i o dziwo, jak na nasze oplakane stosunki, nie w ruinach, ale w możliwym porządku.

Nad sklepioną bramą mieści się tablica z łacińskim napisem, omawiającym dzieje zamku, a właściwie wyliczająca głównie tytuły i godności, jakie posiadał jeden z ostatnich właścicieli Pieskowej Skały — Sobiesław hr. Mieroszewski. Wszedszy na czworokątny dziedziniec, gdzie na narożniku wznoszą się dwie wielkie baszty ośmio-kątne z zębatego u góry zakończeniami i jedna baszta okrągła, znaleźliśmy się na tak zwanym nowym zamku. Gmach ten posiadać ma 60 pokoiów i wznosi się od dziedzińca na 2 piętra, mając po rogach dwa razy wyższe od siebie baszty, w jednej z których, okrągłej, było niegdyś więzienie. Przeszedzsy podwórze, mamy wprost bramy wjazdowej drugą bramę, ostrołukową, prowadzącą, obok czworokątnej wieży zegarowej, do tak zwanego starego zamku. W bramie tej umieszczony jest posąg Matki Boskiej, a pod nim wyrity rok 1877. Przy wieży, w miejscu, gdzie teraz znajduje się mały ogródek z altanką, niegdyś był głęboki loch, gdzie wtrącano przestępców, skazanych na śmierć głodową. Loch ten od imienia pierwszego więźnia nazwany został Dorotką i kilkadziesiąt lat temu jeszcze go turystom pokazywano.

Wstępując po schodach na górę, mijamy umieszczone na dwóch przystankach, wykute z marmuru ciemnego, zbrojne postacie rycerzy — jak utrzymują — Szafranców. Oprócz szeregu komnat, na pierwszym piętrze, jest ładna sala balowa z chórem dla muzyki, a na drugim znajduje się kaplica z piękną kopułą.



Zamek w Pieskowej Skale.

Kiedy wystawiono zamek w Pieskowej Skale — niewiadomo dokładnie, choć Długosz wspomina, że zbudował go Kazimierz Wielki. Przypuszczają jednak niektórzy, że istniał on już znacznie wcześniej, i że założony został przez Niemców; tak wskazuje przypuszczalna pierwotna jego nazwa: Peskenstein, spotykana w Kodeksie Małopolskim, gdzie przywilej z roku 1315, wydany w Sandomierzu przez Łokietka, mówi o pozwoleniu jakiemuś Mikołajowi założenia wsi na prawach niemieckich w obrębie lasów kro-

lewskich, «między Sułoszową, Kosmołowem i zamkiem królewskim Peskenstein».

W 1377 król Ludwik Węgierski darował zamek z okolicznymi wsiami Piotrowi Szafrąncowi. Rodzina Szafrąnców, pieczętująca się Starym Koniem, tak zwać się poczęła dopiero od XVIII stulecia. Poprzednio ród ten nosił miano Toporczyków, od herbu swego Topór (jednego z najstarszych w Polsce) — i już w XI wieku należał do znakomitszych i możniejszych. Jeden właśnie z tych Toporczyków, Żegota, kilkanaście lat spędziwszy na obczyźnie w walkach z niewiernymi, powrócił do rodzinnej ziemi; lecz tu bracia nie chcieli go uznać za członka swego rodu, pomimo, że ukazał im tarczę swą z wrytym na niej herbem. Skarżył się więc Żegota królowi, a uzyskawszy sprawiedliwość, po objęciu przypadającego mu działu ojcowizny, wyrzeka się swych braci i by nic wspólnego między nim a nimi być nie mogło, z herbu swego usuwa topory, natomiast umieszcza wizerunek białego konia, na którym pół świata objechał i walczył. Za zgodą króla, herb w ten sposób przemieniony, z przyłożonym do hełmu tylko «na pamiątkę rodzica» samotnym toporem, stał się od tej pory godłem nowego rodu — Zaprzańców, tak bowiem Żegotę nazwano. Rodzina Zaprzańców przezwała się potem Szafrąncami i z niej właśnie pochodzący ów Piotr, podkomorzy, a potem wojewoda krakowski, stał się właścicielem Pieskowej Skali.

Dwieście lat z górą władali Szafrąnci tą miejscowością. Po śmierci ostatniego z nich, Jędrze-

ja, starosty Celowskiego, który zmarł w roku 1608, dobra Pieskowa Skala przeszły na własność twórcy rokoszu przeciw Zygmuntowi III — Mikołaja Zebrzydowskiego, wojewody krakowskiego.

Ten właściciel kazał zamek powiększyć i wzmocnić, wybudował kaplicę, a na pamiątkę tych prac umieścił na narożnikach zamczyska dotąd nie zatarte herby: Szreniawę i Radwan (godło jego żony, z domu Stadnickiej). Za Zebrzydowskich w roku 1655 Szwedzi, zalawszy całą Polskę, zamek znacznie uszkodzili.

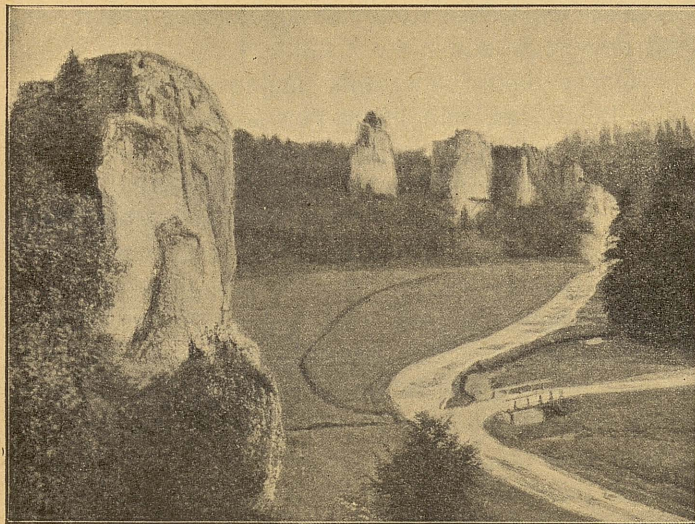
Po Zebrzydowskich, Pieskową Skalę nabył Jan Wielopolski, herbu Stary koń, podobnie jak Szafrąncowie, i on to, mając nadany sobie tytuł hrabiego, Świętego Cesarstwa Rzymskiego, pozwolił sobie tytułować się też hrabią na Pieskowej Skale. Zamek, wyrestaurowany i ozdobiony przez Jana Hieronima Wielopolskiego w roku 1760, w dwadzieścia siedem lat później zwiedzał król Stanisław August. Roku 1841 od Wielopolskich Pieskową Skalę kupił Jan hr. Mieroszewski. Nowy właściciel, starając się budowlę jak najlepiej utrzymać i znakomitą uczynić, gromadził w niej, jakby w muzeum, wszelkie zabytki polskie; na nieszczęście jednak w roku 1850 pożar unicestwił większość tych zabytków. Syn Jana, Sobiesław Mieroszewski, naprawił zniszczone przez ogień zamczysko, ale w roku 1863 znowu zostało ono na nowo zniszczone w czasie ówczesnych wypadków. Właściciel, niezrażony niepowodzeniem, na nowo odbudować kazał Pieskową Skalę i umieścił w zamku pozostałą część

zbiorów ojcowskich, jednakże przed kilku laty odprzedał majątność adwokatowi Chmurskiemu z Krakowa i wyprowadził się, zabrawszy wszystko z sobą i pozostawiając gołe ściany. Teraz Pieskowa Skała jest własnością towarzystwa akcyjnego, które urządziło letnie mieszkania w zamku i okolicznych willach.

Znalazszy się znowu na drodze u podnóża zamku, po chwili doszliśmy do opodal wznoszącej się majestatycznie Sokolej Skały. Komu nieznaną jest choćby z rysunków ta dziwaczna w kształcie swym skała? Przedstawia się ona jako słup mniej więcej 30 łokciowej wysokości, czworokątny, grubości blisko 4 łokci u dołu, u góry zaś dwa razy grubszy i cokolwiek zaokrąglony. Porysowane, a u góry zarosłe nawet dużemi krzakami ściany tej naturalnej budowli zachwycają każdego i nasuwają zapytanie, jakim sposobem ta «maczuga Herkulesa», jak ją również nazywają, się utworzyła.

Gieologowie powstanie tego rodzaju skał objaśniają w następujący sposób. Był czas, że doliny Prądnika wcale jeszcze nie było, a na całej przestrzeni, gdzie dziś rozłożyła się w tych stronach formacja jurska, wznosiło się płaskowzgórze, powstałe z dna morza. Pod wpływem niszczącym wód, co tędy sunęły ku nizinom i łybiły sobie koryta, — pod zabójczym działaniem atmosfery i po części dzięki wstrząśnieniom płynnego wnętrza ziemi, płaskowzgórze to rysowało się i pękało, bardziej miękkie części jego ulegały spłókanui. W ten sposób okolica płaska, po upływie tysiącoleci, zmieniła się w pa-

górkowatą i postrzępioną. Skały twarde, nie łatwo poddające się szkodliwym dla siebie wpływom, pozostawały dłużej w pierwotnym stanie, i jeżeli miały kształt takiego np. jak Skała Sokola słupa, a jakby wrośnięte były w opokę



Droga do Ojcowa.

kruchszą od siebie, przetrwały jej upadek i dziś zupełnie już odosobnione stoją opodal swych macierzy.

Z Sokolą Skałą wiąże się ładne podanie. Oto, gdy raz do Dorotki na Pieskowej Skale kazano wrzucić więźnia, ktoś zlitował się nad nim i obiecał zupełnie go wyswobodzić, jeżeli wędrze się na wierzchołek Sokolicy i przyniesie piskłę z gniazda sokołów, które się tam gnieździły.

I gdy ów więzień myślał nad tym, jak czyn ten ma wykonać, sen go ogarnął, a wtenczas sokoły uniosły go w szponach ku swojemu gniazdu. Obudzony tam, człowiek ten wziął z gniazda pisklę, a sokoły zniosły go z powrotem na dół. Więzień tak szczęśliwym zbiegiem okoliczności uzyskał wolność i dokonał tego, czego nikt od tej pory dokonać nie potrafił.

Dążąc dalej wąwozem, mając po lewej stronie bujny las, minęliśmy poruszane przez wody Prądnika młyny i tartaki, i o wpół do dwunastej znaleźliśmy się pod wyniosłą prostopadłą skałą. Na skale tej wznosi się śród zieleni kilkunastu drzew, biały maleńki kościółek, wraz z kilkunastoma domkami, obok stojącymi, stanowiący wieś Grodzisko.

Wzgórze, na którym wznosi się kościółek, nosi gdzieś tam jeszcze ślady okopów i murów, jakie tu niegdyś były. Sam kościółek otoczony jest murem i stoi pośrodku małego cmentarza. Nad niewielką, z wapienia zbudowaną bramą, przez którą wchodzi się do wnętrza ogrodu, umieszczona jest renesansowa tablica z jakimś napisem po łacinie. Kościółek również jak brama w murze, zbudowany w stylu odrodzenia, nad wejściem ma wykuty w marmurowej płycie napis po łacinie: «Bogu, Bogarodzicy, Dziewicy wniebowziętej i bł. Salomei pannie patronce poświęcony 1642». Wewnątrz przedstawia się bardzo ozdobnie i czysto. W wielkim ołtarzu, ozdobionym dziesięcioma czarnymi i dwoma jasnymi marmurowymi filarami, mieści się obraz Matki Boskiej z Dzieciątkiem Jezus w sre-

brnej sukience, a w górze po nad nim, drugi obraz pędzla Smuglewicza, przedstawiający ukoronowanie Najśw. Marji Panny. Pomiedzy filarami stoją dwa z białego marmuru posągi św. Józefa i św. Sebastjana. W dwóch marmurowych ołtarzach bocznych mieszczą się figury: po prawej stronie św. Salomei, po lewej — św. Magdaleny. Okna po bokach wielkiego ołtarza, kolorowe, z wyobrażeniem świętych, przytym kazalnica z modrzewiu — jeszcze przyjemniejszy sprawiają dla oka widok.

Wyszedszy z kościołka i obejrzawszy stojącą na cmentarzu niezbyt wysoką kolumnę w stylu korynckim, na której niegdyś stała figura świętej Salomei, rzuciliśmy okiem na umieszczone na murze okalającym kościół 5 figur z piaskowca, wyobrażających: Henryka Brodatego, Bolesława Wstydliviego, błog. Kunegundę, Kolumana Halickiego i św. Jadwigę Trzebnicką.

Za kościołem, pośrodku podwórza stoi kamienny obelisk 12 łokci wysoki, umieszczony na podstawie wyobrażającej słonia. Obelisk jak i jego podstawa mają łacińskie napisy, na pierwszym jest też wryty rok 1686. Wszedszy w głąb dziedzińca, znaleźliśmy się przy domku, w którym mieszczą się trzy sztuczne grotty lub krypty, mniejsza jak je nazwać, wyłożone tufem wapiennym i naciekami. W pobliżu grot kamiennych schody prowadzą o jakieś 20 łokci na dół. Zszedszy tam, znajdujemy się w tak zwanej pustelni św. Salomei. Z przedsionka na lewo drzwi prowadzą do sypialni, gdzie za piecem do dziś pokazują kamienne łóżko świętej pustelniczki.

Wprost wejścia znajduje się ołtarz z obrazem modlącej się przed Matką Boską św. Salomei, u spodu zaś napis po polsku w krótkich słowach streszcza jej żywot świętobliwy.

Henryk Brodaty, walcząc z Konradem Mazowieckim o opiekę nad małoletnim dziedzicem tronu krakowskiego, Bolesławem V-ym, aby zabezpieczyć się od napadu przeciwnika, wystawił w roku 1228 na obronnej skale zamek, który nazywał Długą Skalą albo Kamieniem. Salomea, siostra Bolesława V-go, po śmierci męża swego, Kolomana Halickiego, przyoblekła habit, wstępując do zakonu w Zawichoście. Ale napady Tatarów klasztor zniszczyły i wymordowały prawie wszystkie zakonnice, w roku 1260 Salomea z ocalonemi towarzyszkami przybyła do zamku Długiej Skali, który Bolesław kazał na klasztor przerobić i bogato uposażyć. Św. Salomea wystawiła przy klasztorze kościół pod wezwaniem św. Magdaleny, i w siedem lat dopiero po przeniesieniu się z Zawichosta zakończyła tu życie. Po śmierci ksieni zakonnice jeszcze przeszło pół wieku przemieszkwały w tym miejscu, lecz w roku 1320 przeniosły się do Krakowa, pozostawiając mury klasztoru na pastwę losu, bo dłużej tu wyżyć nie mogły z braku wody i częstych napadów zbójców.

Budowla, powoli krusząc się zniknęła z widowni—miejsce, gdzie stał zamek a potem klasztor, nazwano Grodziskiem i nazwa ta do dziś się utrzymała. W trzysta lat potem, w roku 1642, klaryski krakowskie, właścicielki Grodziska, z zapomogi, użyczonej im przez króla Władysława

IV, wystawiły tu kościół pod wezwaniem Wniebowzięcia N. M. P. I ta świątynia uległaby znowu zupełnej ruinie, gdyby nie uczony profesor Akademii Krakowskiej, ksiądz Piskorski, ówczesny proboszcz Grodziska, który ją podźwignął z upadku w roku 1677, a w sto lat potem znów to uczynił proboszcz skański ks. Maciej Kuchna.

Przy kościółku w Grodzisku prawie do ostatnich czasów, bo do roku 1872, przemieszkivali pustelnicy. Ostatni z nich, Franciszek Warkocz, wiele przyczynił się do zachowania budowli św. Salomei, bo za zebrane drogą ofiar pieniądze zbudował nowy dach i więzanie na kościółku.

XIII.

W Ojcowskim Kanjonie.

O pierwszej po południu, po przejściu dwóch wiorst drogi wśród majestatycznych skał, zarosłych lasami lub pokrytych jakimiś kolorowemi trawami i mchami, właściwemi tylko dolinie i górcom Prądnika, znaleźliśmy się w Ojcowie, pod samą górą, na której sterczą opustoszałe szczątki Kazimierzowskiego zamczyska «Ocziec». Odpoczęliśmy tutaj przez kilka minut, przyglądając się zakładowi leczniczemu «Gopłanie». Jest to duży drewniany budynek trzypiętrowy z licznymi balkonami i wysokim dachem. Gopłanę wybudował w roku 1894 Ludwik hr. Krasiński, starając się urządzić z niej pierwszorzędną, od-

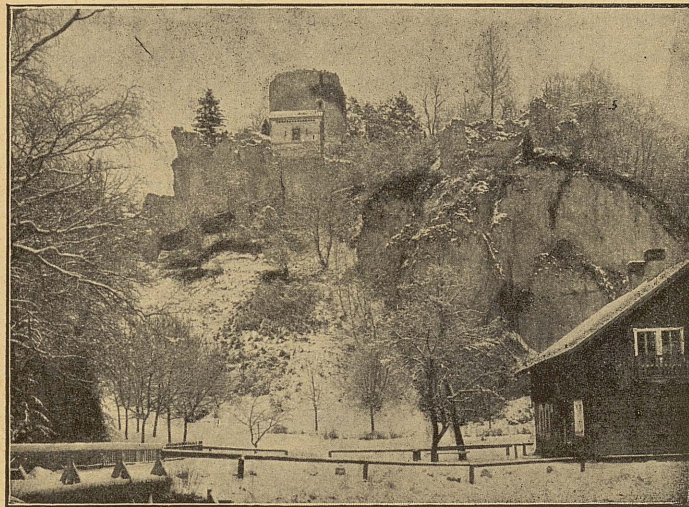
powiadający najnowszym wymaganiom zakład wodoleczniczy. W gmachu tym mieści się 60 pokoiów, w liczbie których jest 14 gabinetów kąpielowych i ogólna sala natryskowa. Parter mieści w sobie salę jadalną, czytelną, biuro administracji, gabinety i mieszkanie lekarza, na pierwszym i drugim piętrze są pokoje dla gości, trzecie piętro zajmuje służba, suteryny zaś oddane są na wszelkie urządzenia zakładowe i składy. Do «Goplany» należy też umieszczona na stawie łazienka, przeznaczona dla kąpieli falistych.

Przez otwór w rozwalonym murze dostaliśmy się w obręb zamczyska.

Cicho tu i pusto. Wysoka murawa porasta dziedziniec, gdzieś krzak bzu lub jarzębiny. Uszedszy cokolwiek w kierunku południowo-zachodnim, znaleźliśmy się przy okrągłej, wykutej w górze studni głębokiej, a następnie przy ośmiokątnej wielkiej baszcie zamkowej, wybudowanej z ciosowego wapiennego kamienia. Dostęp do jej murów jest tylko ze strony południowej i wschodniej, i to nie zbyt łatwy, bo trzeba przedzierać się po gruzie i wśród gęstych krzewów, jakie się tu bujnie wszędzie rozrosły pod ścianami. Baszta ta, u wierzchołka ładnie zazębiona, posiadała dawniej stożkowy sześciokątny dach gontowy, ale gdy miano ją wraz z całym zamkiem restaurować według pierwotnych planów, dach ów i wierzchnie jej części zdjęto, a potem, gdy zamiar tak chwalebny nie doszedł do skutku z powodu śmierci inicjatora, naturalnie z powrotem nie postawiono. Dziś też baszta, zeszpecona taką zmianą, smutnie się

z dołu przedstawia. Do wnętrza nie mogliśmy się dostać.

Przyjrzawszy się tym resztkom wspaniałej zapewne niegdyś wieżycy, skrociliśmy na lewo ku bramie o ostrołukowym sklepieniu, nad którą



Zamek w Ojcowie.

mieści się izba z dwoma oknami, strzelnicami i kominkiem. Do bramy tej, pokrytej dachem, dawniej o kształtach czworokątnej piramidy, a dzisiaj płaskim, prowadził zwodzony most, po którym dziś zostały tylko dwa słupy, służące za oparcie. Weszliśmy jeszcze do zwalisk dwupiętrowego właściwego gmachu zamczyska, i ruszyliśmy z powrotem, obchodząc mury od strony południowej i wschodniej.

Co do historii zamku Ojcowskiego, to utrzymują, że już za Krzywoustego musiał on istnieć, bo w podaniach Ojców, jako starostwo niegrodowe i własność Szczebryców łączone jest ze Skarbimirem z Góry, herbu Abdank, wojewodą krakowskim, a historyczna ta postać należała do najdzielniejszych wojowników Bolesława III-go. W zwaliskach tej budowli krył się w czasach swego tułactwa Łokietek, a syn jego, pomny do li, jaką przechodził tu ojciec, budowlę podźwignął z ruiny i basztę przy niej postawił. I na pamiątkę tego, jak utrzymuje Marcin Bielski, zamek otrzymał nazwę: Ocziec u Skąły, a potem — Ojców. Po pierwszych właścicielach Skarb Rzeczypospolitej objął w posiadanie dobra tutejsze i dawał je jako nagrodę «bene merentibus». Tym sposobem Ojców posiadał kasztelan sandeczki Mikołaj Koryciński. Senator ten własnym kosztem naprawił zrujnowaną zupełnie budowlę, ale skarb z polecenia sejmu wypłacił mu wydane sumy w r. 1643. W trzy lata potem Szwedzi swoim zwyczajem znów w perzynę obrócili zamczysko. Po Korycińskich, którzy po mieczu wygaśli za Jana Sobieskiego, niewiadomo dokładnie, kto był posiadaczem Ojcowa. Za czasów saskich jednak widzimy już dobra tutejsze w rękach Zygmunta Łubieńskiego, a następnie Załuskich, z których rodu Teofil był też ostatnim starostą ojcowskim do roku 1831. Po roku tym Ojców włączony został do dóbr skarbowych, od których sprzedany został następnie niejakiemu Wolickiemu. Ten odprzedał dobra Prendowskiemu, po tych zaś w roku 1859 przeszły one na

własność Aleksandra hr. Przezdzieckiego, który, zdawało się, zabezpieczy ich przyszłość. Niestety jednak, hrabia w sześć lat potem sprzedał część dóbr Żydom z Wrocławia, pozostawiając sobie zaledwie dolinę, ruiny zamku, Prądnik, groty: Ciemną i Łokietkowską, oraz kawałek lasu po nad skałami, zwanymi «firanki». Żydzi ci lasy wycięli, na miejsce ich siejąc nowe. Pozostała część dóbr od spadkobierców hr. Przezdzieckiego nabył w r. 1878 Jan hr. Zawisza i nosił się z zamiarem zakupu od Żydów reszty dawnego majątku, ale uprzedził go w tym margrabia Huntley Gordon. Ten właściciel, nie płacąc Żydom należności, w jakiś czas miał dobra wystawione na licytację za dług. Z okazji tej skrzyśtał Ludwik hr. Krasiński i postarał się o nabycie całego wystawionego na sprzedaż majątku. A że żona jego od hr. Zawiszy otrzymała w spadku zamek i dolinę ojcowską, więc dawna majątność w całej swej rozciągłości znalazła się z powrotem w rękach jednego właściciela.

Zszedszy z góry, mijając hotel «Pod Łokietkiem» i otoczony żywopłotem park spacerowy, kierujemy się chodnikiem z desek — obok hotelu «Pod Kazimierzem» na południe, pozostawiając za sobą górę Złotą Głowę, na jednym szczycie której, zwanym «Świst» stoi krzyż. Przechodząc między domkami tutejszych gospodarzy, przeważnie wynajętymi przez letników z Warszawy i innych miast Królestwa a także wielu z Krakowa, mijając domy znanych tu przewodników Kopczyńskich oraz młyn Bosaka, dochodzimy do pięknej, zarosłej winem willi «Hercówką» zwa-

nej, położonej na wzgórzu, za którą zaraz na prawo idzie droga, prowadząca do doliny Sąspowskiej. Mijając następnie na lewo skałę Janaszówkę, z której na dolinę ojcowską rozciąga się jeden z najpiękniejszych widoków, obok piętrowej willi «Pod Berłem», po za którą stojąca grupa skał nosi nazwę «Zamczysko,» minawszy jeszcze tartak «pod Krzyżem», należący do administracji dóbr ojcowskich, doszliśmy do nagiej, znacznie przysuniętej ku Prądnikowi wielkiej skały, mieszczącej od południowej swej strony u samego dołu wejście do sporej groty «Przy Krakowskiej bramie». Przeskoczywszy strumyk, oddzielający drogę od polanki, z której jest wejście do groty, znaleźliśmy się w parę minut przed trójkątną, 4 metry wysoką, a 8 u podstawy szeroką czeluścią.

Wszedźszy do środka, brnąc przez namul, powstały z odpadających ze ścian jaskini skruszonych odłamków skalnych, doszliśmy do ściany tylnej. Od wejścia do ściany tej 12 metrów. Grota w przecięciu poziomym ma kształt dwóch trójkątów, umieszczonych jeden za drugim w ten sposób, że wierzchołek jednego opiera się na podstawie drugiego. Na przodzie groty, zaraz prawie za wejściem sklepienie podwyższa się znacznie, następnie zniża i przy tylnej ścianie ma zaledwie 2 metry wysokości. Na ścianie tej obserwować można ciągle, powolne dalsze tworzenie się groty. Zmienna atmosfera, działając krusząco na materiał, z którego wytworzone są skały, powoduje niszczenie się jego i opadanie w postaci wodnistych odłamków. Silniejsze ule-

wy i śniegi, zalewając przestrzeń, wody swe wciśkają w szczeliny skalne i, rozpuszczając wapien, powodują zwiększanie się szpar. A do tego zimą, gdy znajdująca się w takich szczelinach woda zamarźnie, z powiększeniem objętości swej w tym stanie, rozsadza bryły skalne, energiczniej jeszcze kruszy wapienną opokę i żłobi coraz głębiej pieczarę.

Grotty zawsze posiadają dno pokryte warstwą innej skały niż skała, w której grota się znajduje, choć czasem zdarza się, że istniejący namul woda splókuje doszczętnie. W grocie «Przy Krakowskiej bramie» wierzchni pokład dna stanowi szaroziem, usiany gruzem wapiennym, wciąż obrywającym się ze ścian jaskini. Pod cienką tą warstwą znajduje się żółta glina lodowcowa, należąca do ostatniego piętra formacji dyluwialnej. Szaroziem powstał dzięki gniciu naniesionych tu przez wiatr lub wodę organizmów, glinę zaś osadziły na dnie pieczary wody z epoki polodowcowej, kiedy, szukając wszędzie ujścia dla siebie, cisnęły się gwałtownie w każdą szczelinę i jamę.

Podobnie jak grota «Przy Krakowskiej bramie» zamulone są wszystkie inne jaskinie Ojcową. Dodać należy, że dno całej doliny Prądnika ze swojej budowy geologicznej zupełnie jest podobne do dna położonych nad nim pieczar. Jeżeli byśmy sobie przedstawiali pionowy przekrój poprzeczny doliny w miejscu np. groty powyżej opisanej, widzielibyśmy ostrołukowy wąwóz wśród jurskich skał, na spodzie którego i niższych częściach stoków rozłożyła się gruba warstwa gliny lodowcowej, tej samej, którą spotykamy na dnie

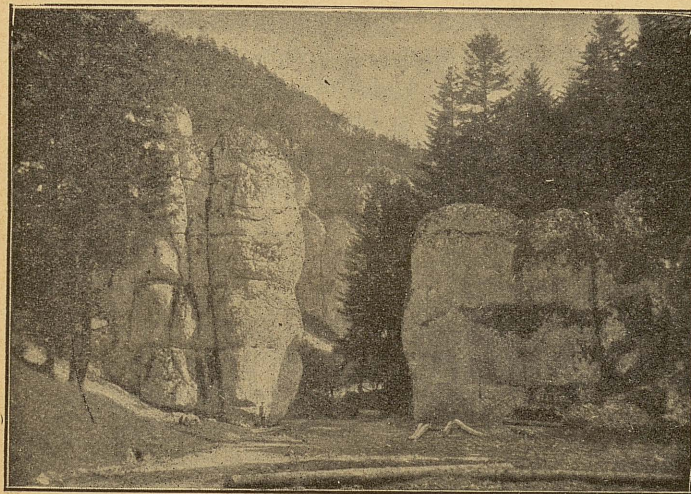
pieczar, jako bezpośrednie pokrycie właściwego dna grotu. Na warstwie tej, pośrodku doliny, w największym zagłębieniu wznosi się o połowę cieńszy pokład najnowszych napływów alluwjalnych, po których przepływa Prądnik. Pokryciem wreszcie górnym obydwu tych warstw jest znowu cienka, tarasowo się rozciągająca warstwa szaroziemu z butwiejących tratw, liści, korzeni, krzaków, drzew i zbóż powstała. Namuły w grotach, tworząc się i dzisiaj jeszcze z osadów dyluwjalnych, stanowią przykład, jak dzięki niektórym okolicznościom, skały danej formacji czy epoki przez zmianę późniejszą zmieniają swój charakter i mogą wprowadzić w błąd geologa.

W namulach grot obok głazów narzutowych, uniesionych wraz z gliną z pierwotnego łóżyska, znaleźć można często szczątki kości zwierząt zaginionych, a jak w niektórych jaskiniach to i narzędzia człowieka przedhistorycznego.

Po obejrzeniu grotu stanęliśmy przed «Krakowską Bramą». Jest to równy, wysoki na jakieś 29, a szeroki na 8 metrów wylom w grubym naturalnym murze skalnym, który łączył tu niegdyś południową część Chełmowej góry, tak zwany Styr, z północnym stokiem Rusztowej. Mur ów, mając powierzchnię pokrytą na krzyż brózdami, wydaje się jakby był wystawiony z wielkich sześciennych, jednolitych głazów białego wapienia. Krakowska Brama prowadzi do wąwozu tejże nazwy.

Przez wąwóz Krakowskiej Bramy prowadziła przed laty droga z Ojcowa do Krakowa położonego o dwie mile zaledwie. Od Krakowskiej Bramy zawróciliśmy tą samą drogą, kierując się w stronę Skały.

Nie dochodząc drogi do Skały, na wielkiej prostopadłej ścianie, po prawej stronie góry wznoszącej się ponad nurtami biegnącego tu chyżo Prądnika, umieszczona jest marmurowa tablica z ładną płaskorzeźbą, — poświęcona pamięci sta-



Brama Krakowska w Ojcowie.

łego gościa tutejszego, nieodżałowanego Adolfa Dygasińskiego.

Wydostawszy się z doliny Ojcowskiej na płaskowzgórze, po przejściu półtorej wiorsty, znaleźliśmy się we wsi Smardzowicach, a następnie skręciliśmy cokolwiek na prawo, skąd droga, obniżając się ku wąwózowi, idącemu w kierunku wschodnim, prowadzi obok Smardzowieckiego kościoła i dalej położonego lasku — do Cia-

nowic. W tej wsi znaleźliśmy się o zachodzie słońca; nocleg dostaliśmy u znajomych.

Na drugi dzień zabraliśmy się do zwiedzania południowej części doliny Ojcowskiej. Zaczęliśmy od groty zamieszkałej. Jest to sucha, blisko 20 metrów długa pieczara; nazwę swą zawdzięcza ona gospodarzowi Janikowi, który u wejścia jej zbudował sobie chatę, a samą jaskinię użył zamiast stajni, obory i stodoły. Ruszyliśmy dalej na południe i minawszy szeroką skałę Łaskawiec, z niewielką grota, obok młyna, wśród śliwkowych sadów położonego, znaleźliśmy się w tak zwanym Prądniku Korzkiewskim, wioszczynie, składającej się z paru chat zaledwie. Za miejscem tym dolina Prądnika rozszerza się znacznie i okrywa polami, ciągnąc się tak do samej granicy. Zawróciliśmy stąd do groty Maszyckiej, ponieważ nie znając dobrze jej położenia, minęliśmy ją już dawno. Kto sobie wyobrazi, że jaskinię tę obrócono na pomieszczenie pieca do wypalania wapienia! Mogliśmy zapuścić się zaledwie na kilkanaście kroków w głąb, bo okrążyły, z gliny ulepiony piec tamował drogę do drugiej komory.

Grota Maszycka, wznosząc się na południowo-zachodnim stoku lesistej góry o 150 metrów nad poziom Prądnika, posiada otwór w postaci półkuli, szeroki u dołu na 9 metrów, a wysoki pośrodku na 4. Grota w głąb ciągnie się w łamanym kierunku na 30 metrów, szerokością nie przewyższając swojego wejściowego otworu. Dzieli się na dwie komory. Od pierwszej prostopadle ku górze wznoszą się dwa otwory,

oświetlające dawniej tę część jaskini, dziś w otwory te wpuszczono kominy pieca. Druga komora, ciemna, posiadała w głębi kanał, ciągnący się ku górze, przez który wody niosły osad do całej groty i zmuliły ją na trzy metry grubości.

W roku 1884 jaskinię Maszycką badał Godfryd Ossowski. W wierzchnim, z czarnoziemi i próchnicy powstałym pokładzie namuliska znalazł on szczątki wyrobów przedhistorycznego człowieka z kości różnych zwierząt, żyjących teraz, a także zaginionych, np. mamuta. Z wyrobów człowieka pierwotnego w grocie znalezione zostały szydła i łopatki z kości zwierzęcej, wiśiorki, młoty z rogu jelenia, nożyki krzemienne, cienko łupane szlifowane krzemienne siekierki, kliny, osetki i głązy — zapewne do tłuczenia ziarna, a także skorupy potłuczonych naczyń glinianych. Dolna warstwa namuliska, tej samej co górna t. j. — 1½ metrowej grubości, o barwie szarej, gdyż jasno-żółta glina, składająca je, zmieszała się z ziemią roślinną, — zawierała kości mamuta, niedźwiedzia jaskiniowego, nosorożców, hien i t. p. zwierząt, różniące się znacznie, dzięki wygładzonej powierzchni, od kości znajdujących w wierzchnim pokładzie; prócz tego były w niej wyroby ludzkiej ręki, przeważnie z kości mamuta i nosorożca, oraz trochę przedmiotów z rogu renifera, krzemienia i kamienia kwarcytowego. Z tego ostatniego materiału były trzy zaledwie wykopaliska, przedstawiające stożkowe bryłki — używane — jak się to archeologowie domyślają — do rozcierania farby. Koroną wszakże wykopalisk w Maszyckiej grocie były znale-

zione w obydwu jej pokładach resztki ludzkich szkieletów.

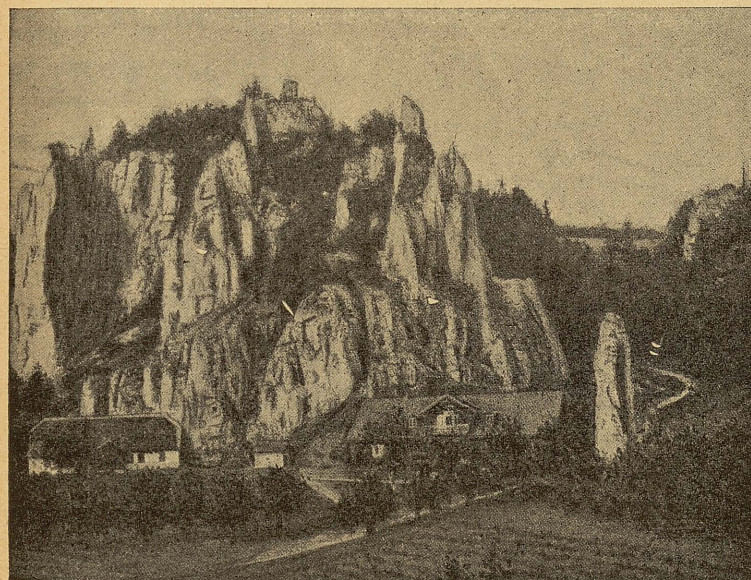
Wykopaliska dolnego pokładu, jak i wydobyte z wierzchniej warstwy namuliska, upewniły geologów, że odnieść je należy do czasów epoki neolitycznej t. j. epoki kamienia gładzonego; zabytki dolnego pokładu są znacznie starsze i zbliżają się formą swą do dzieł okresu, poprzedzającego epokę neolityczną, paleolitycznego, czyli epoki kamienia łupanego.

Dodać należy, że obydwie okresy — paleolityczny i neolityczny należą do formacji dyluwjalnej, w początkach której, prawdopodobnie w tak zwanym okresie mamuta, ukazał się na widowni świata człowiek.

Wróciwszy z groty Maszyckiej na dół ku dolinie, ruszyliśmy prawą stroną Prądnika cokolwiek na południe, kierując się ku wąwozowi, zwanemu Stodoliska. Niewielki ten, zasypany pośrodku i po bokach rumowiskiem wąwozik, prawie na środku posiada łatwo dostępną, niską dość, wydrążoną na przestrzał skałę, zwaną «Tunelem», ponad którą, wysoko na prawo, znajduje się grotta pod nazwą «Nad Tunelem» i obok niej druga niedawno odkryta, zasłonięta krzakami. Na zachód od «Tunelu», po prawej stronie wąwozu, karkołomna ścieżyna prowadzi do czwartej groty — «Sypialni». Stodoliska kończą się tak zwaną Suczą Skałą, za którą rozłożyły się już pola, ciągnące się na południe ku Białemu Kościołowi i wsi Wierzchowie.

Wracając z wąwozu, wступujemy jeszcze do małej grotki, zwanej «Nizką», znajdującej się

w grupie skał obok młyna Gątka, następnie mijamy wielką i stromą skałę Wójtową i dochodzimy do niewielkiej groty «przy Jabłońskim». Mijając po lewej stronie drogę do Białego Kościo-



Panieńskie skały w Ojcowie.

ła, przychodzimy ku wejściu do wąwozu «Korytanji». Uroczy ten zakątek, omijany przez tutejszych, z powodu, że w nim «straszy» — przedstawia wązki, z małą odnogą na prawo jar, skalne, fantastyczne ściany którego pokryte są lasem i krzewami. Zapuszczamy się w głąb wąwozu, gdzie naprzeciw, w pięknej grupie kamiennych szczytów, mieści się grotta z licznymi

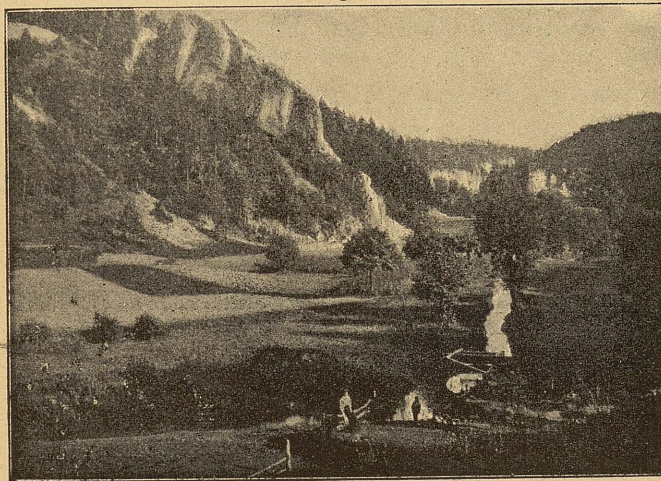
otworami, wgłębieniami i załamami. Zwiedziwszy «Dziurawiec», tak się bowiem ta grotka nazywa, i przeszedłszy wązką jakby bramę, utworzoną przez dwie naprzeciw siebie stojące skały: dochodzimy do grupy wysokich szczytów z otworem w górze o kształcie okna. Dalej Korytanja zwęża się i prowadzi w pole na południo-zachód, ku Bębłu i wąwozowi Wierzchowskiemu.

Po powrocie z Korytanji nad Prądnik, przeszliśmy tę rzekę; dalej idąc mieliśmy skały; Igłę, Rękawicę i Ptaka, tak nazwane od kształtu swego; przeszliśmy znowu na drugą stronę doliny i wstąpiliśmy w głąb wąwozu «za Krakowską Bramą». Jest to wąwóz cokolwiek większy od Korytanji, a prawie równoległy do niej. Ma on zaraz za wejściem małą odnogę, zwaną Ciasne skałki, gdzie znajduje się kilka niewielkich grot. Wprost tej odnogi, po lewej stronie wąwozu, wznosi się wysoka skała z grotą wielkości okna i dwiema małymi nieco niżej. Groty te zwane są Dziurawcem dolnym.

Idąc dalej skręcającym tu cokolwiek na południe wąwozem Krakowskiej Bramy, doszliśmy do tak zwanej Pszczelnej skały i położonych obok po lewej stronie na wzgórzu trzech grot, zwanych Dziurawcem górnym, z których tylko jedna ma większe rozmiary, bo liczy coś 10 metrów wysokości, 4 długości i $1\frac{1}{2}$ szerokości. Doszedłszy do skały zamykającej wąwóz, zawróciliśmy i zwiedziwszy położoną przy Ciasnych Skałach grotę «Za Krak. Bramą» (6 m. długą, 3 szer. i 4—5 wysoką), znaleźliśmy się znowu przy wejściu, zającawszy jeszcze w znajdującą się po prawej

stronie grotkę Rusztową, nazwaną tak od góry, która się mieści w jej stoku północno-zachodnim.

Przespacerowawszy się wreszcie doliną i natrzymawszy się na Derechówkę czyli Panieńskie Skały, Bystrą i szereg innych wznoszących się



Widok doliny ojcowskiej.

tu jedna za drugą malowniczych skał, doszliśmy do parku Ojcowskiego. Stąd ruszyliśmy znów na południe, i skręciwszy obok willi Hercówki na prawo, zapuściliśmy się w piękną Sąspowską dolinę. Idąc brzegami przerzynającej całą tę dolinę rzeki Sąspówki, nie zatrzymując się nigdzie, po godzinnym chyba marszu, już nocą o $9\frac{1}{2}$ znaleźliśmy się w Sąspowie.

Na drugi dzień zwiedziliśmy, kilkanaście drobnych grot i doszliśmy do grotki Jerzmanowickiej.

Weszliśmy jakby do wielkiej sali, skąd na lewo, zaraz przy wejściu ukazuje się kurytarz, łączący się dalej z drugą podobną salą jaskini. W korytarzu tym, po bokach mieszczą się piękne stalaktyty i stalagmity w postaci grzybów i schodów, czy też zamarzłych raptownie wodospadów. Wszedźszy do drugiej sali, o nierównym, dość wilgotnym poziomie, usłyszeliśmy jakieś piski. Wydawały je nietoperze z gatunku Myszaków, właściwe tylko Jerzmanowickiej grocie (*Vespertilio murinus*), które, przyczepiając się masowo do sklepienia jaskini, z dołu przedstawiały nam się jako czarne plamy na szarym tle.

Grota Jerzmanowicka dopiero od roku 1848 znaną się stała uczonym i turystom. Musiała jednak przed laty służyć za siedzibę pierwotnego człowieka, bo w namulisku jej, stanowiącym, dzięki owym tysiącom nietoperzy, pewien rodzaj guana, znalezione zostały liczne toporki krzemienne, kliny, dłuta etc. z epoki kamienia gładzonego, a także części szkieletów mamuta, niedźwiedzia jaskiniowego, hijeny, nosorożca i renifera.

Wyszliśmy wreszcie z pieczary na środek wąwozu i po przejściu kilkuset kroków z powrotem na północo-wschód, skierowaliśmy się niewielką drogą przez pola ku wsi Bębło. Minąwszy kilkanaście domów tej wioski, stanowiącej właściwie przedłużenie Czajowic, stanęliśmy przed niezbyt wysoką, ale potężną, zarosłą krzewami skałą; czworokątny spory otwór prowadzi do niezbyt obszernej, z otworem w górze i kilkoma lochami pieczary Łabajowej, lub jak ją też nazywają od nazwy wsi, w której się znajduje —

groty Bębelskiej lub Bębłowskiej. W tej samej górze, tylko trochę wyżej, znajduje się druga grotka, tak zwana Górna Bębelska. Nie znając okolicy, idąc do Łabajowej groty, ominęliśmy trzy ciekawe pieczary w Żytnej skale (między Czajowicami a Bębłem). Nazwy ich są: Wysoka, Mała i Przechodnia.

Zwiedziwszy Bębłowskie jaskinie, drogą z początku do Bętkowic, potem do Wierzchowie szliśmy szybko, po samej prawie granicy, tu bowiem, na przestrzeni około 2 wiorst, wrzyna się w Królestwo część Galicji. Wieczór się zbliżał. Słońce zachodziło, ostatnimi blaskami swemi czerwieniąc wieżycę i dachy Krakowa, który w tworzącej się chmurze mgieł na tle białawych Tatr z daleka wyraźnie się uwydatniał — mila bowiem dzieliła nas zaledwie od tego grodu. O zmroku już doszliśmy od południa ku wsi Wierzchowie, gdzie poinformowawszy się u gospodarzy o drogę do Hamerni, ruszyliśmy brzegiem rzeczki, przerynając wąwóz Wierzchowski, i kierując się na Białą Kościół. Po drodze, zaczepieni przez podoficera straży pogranicznej, musieliśmy się tłumaczyć, gdzie idziemy, gdyż zwróciło to jego uwagę, że o tej porze znajdujemy się na samej granicy.

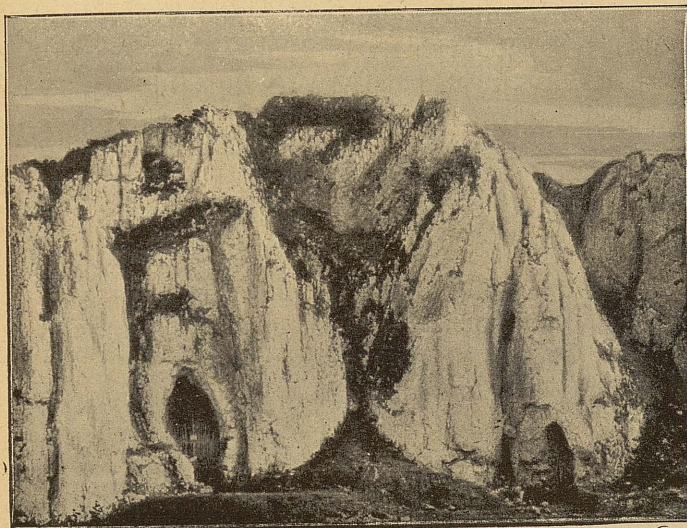
Nie zwiedzając dwóch grot «na Męcznej», pod samym Białym kościołem, doszedźszy do tej wsi traktem, który od Olkusza przez Szycką komorę prowadzi do Krakowa, skręciliśmy na prawo ku Wielkiej wsi i stamtąd następnie, mijając wpoprzek ścieżkami i miedzami liczne tu wąwoziki, biegnące ku Prądnikowskiemu, doszliśmy do

Hamerni o godz. 10 wieczór, w bezksiężycową noc, orjentując się tylko po ogniskach, jakie straż pograniczna zdaleka na kordonie porozpalała. Tam, u znajomego mi jeszcze z dawniejszego pobytu w Ojcowie gospodarza, zanocewa-
liśmy, poczęstowani na kolację ciepłym mlekiem i chlebem razowym.

Jedenasty dzień podróży rozpoczęliśmy o godzinie 9-ej rano pochodem powrotnym na zachód, nie zwiedzając niedaleko stąd położonych nad Korzkwicą, lewym dopływem Prądnika, ruin Korzkiewskiego zamku, założonego niewiadomo kiedy i przez kogo, a przez długi czas w XVII stuleciu będącego w posiadaniu Jordanów. Z Jordanów, którzy od początku XVII wieku władali Korzkwią, w roku 1723, Michał, wojewoda bractawski i wielki łowczy koronny odbudował zamek zniszczony przez Szwedów. Po nim majątność tę objęli Wesslowie, następnie Wodziccy. Po roku 1827-ym Korzkiew przechodziła już z rąk do rąk, zawsze jednak na krótki tylko przeciąg czasu. Z zameczku tego, który tak jak Pieskowa Skala z północy, strzegł od południa wejścia do doliny Prądnika, pozostała dziś niska i wązka z wapienia zbudowana brama wjazdowa, szczątki mocnego niegdyś muru i sam gmach zamku, wcale jeszcze nieźle zachowany, składający się z dwu skrzydeł. Do wnętrza budowli prowadzą żelazne drzwi, nad którymi w kamieniu rzeźbione są herby. Trzy sale na dole, z których jedna ma sufit sklepiony, nad niemi także trzy, podtrzymywane rzeźbionymi belkami modrzewiowymi, dach gontowy, ot wszystko, co pozostało

dzisiaj z zamku. Loch nawet, który pod zamkiem ciągnął się gdzieś głęboko, podobno ludzie żądni skarbów, zawalili, rozkopując.

Wyszedszy z Hamerni, minąwszy Białą Kościół, doszliśmy o wpół do dwunastej do Wierz-



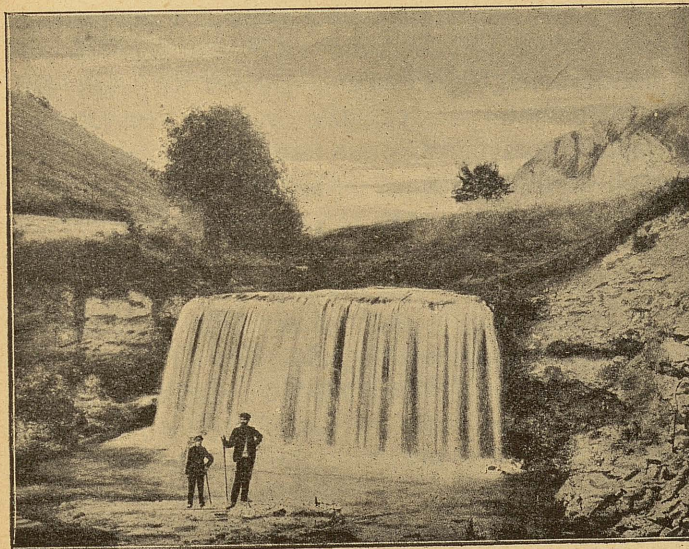
Wejścia do groty Wierzchowskiej.

chowa. Zwróciliśmy się do dworu tutejszego o pozwolenie zwiedzenia groty i o przewodnika. Grota tutejsza jest zamknięta i otwierana bywa tylko dla zwiedzających i badaczy. Zapłaciwszy po 30 kop. od osoby za zwiedzenie grot z przewodnikiem i poczekawszy do południa, ruszyliśmy ku grotom, których otwory widać było jako ciemne jamy w wysokiej skale Wierzchowskiego wąwozu.

Wyprzedzając przewodnika, weszliśmy do groty dolnej Wierchowskiej, zwanej też Mamutową od znalezionych w niej przez Ossowskiego i hr. Zawiszę kłów i zębów tego słonia. Pośrodku groty, wokoło wielkiego głazu, jak przekonali się wyżej wymienieni badacze jaskiń Ojcowskich ze znalezionych tu węgla, kości przepalonych, narzędzi krzemiennych i t. p. znajduje się ognisko przedhistorycznych ludzi, którzy tę grootę zamieszkiwali. Następnie zwiedziliśmy dokładnie grootę Wierchowską Górną. Jest to największa grota w Polsce; ciągnie się ona na ogólnej przestrzeni 640 metrów w różnych kierunkach. Ma kilka sal olbrzymich, długich korytarzy, zagłębień i zakrętów. Jest to jakby mały labirynt, w którym bez przewodnika można łatwo zabłądzić. Wszystkie ściany i sklepienia pokryte są wspaniałymi naciekami — stalaktytami, z których najpiękniejsze noszą nazwy: Niedźwiedź i Kropielnica; z ziemi zaś podnoszą się różnokształtne stalagmity.

W jaskini Wierchowskiej, przy rozkopywaniu, hr. Zawisza i Ossowski odkryli wiele pamiątek po pierwotnym człowieku. I tak, w górnej warstwie namuliska otworu, którym weszliśmy do wnętrza groty, odkryte zostało ognisko, a przy nim wiele narzędzi z krzemienia, trzy szydła z kości końskiej, kamień płaski — z jednej strony gładzony — widać do mielenia ziarn, siekierka szlifowana, mnóstwo szczątków ozdobnych i gładkich naczyń glinianych, łupane kości nowszych gatunków zwierząt, i jeden tylko ciekawy szklany paciorek. W drugim otworze, dolnym, w półmetrowej grubości warstwie głazów, ułożo-

nych w porządku jakby bruk kamienny, znaleziono resztki wyrobów żelaznych np. groty strzał, toczone skorupy naczyń glinianych, paciorki, ciężarki — i pierwsza, w polskich grotach znaleziona figurka gliniana, zapewne amulet pierwotnego



Wodospad Szeroki.

człowieka, czy może sam bożek. W położonym obok pierwszego wejścia zagłębieniu, Ossowski znalazł też samotny szkielet człowieka, obok niezliczonej liczby szczątków naczyń glinianych. Wogóle z groty tej uczony wydobył blisko 900 sztuk rozmaitych przedmiotów, mających niepoślednią wartość dla przeddziejowej archeologii kraju naszego. Z porównania wykopalisk gie-

ologowie utrzymują, że grotę Wierchowską człowiek pierwotny zamieszkiwał znacznie później, niż położoną obok, zwiedzaną już przez nas grotę Mamutową.

Zamierzaliśmy zwiedzić jeszcze uroczą dolinę Bętkowską, tak nazwaną od strugi przerzynającej ją na całej prawie długości z pod grotę Jerzmanowickiej do Rudawy — za kordonem. Z wapiennej skały wytryska masa zimnej, jak lód przezroczystej wody, sunie poprzez żwirowisko wapieni, przylączając do siebie strumyki z innych źródełek. Płynąc następnie szerszą już rzeczką przez uroczne łąki, Bętkówka porusza koła młyna wodnego, omywając też bystre nurtami swemi parę chat, które obok młyna się wzniosły wśród szerzej już rozłożonej doliny. Mijając młyn i po lewej stronie skały «Czarcie wrota», po przejściu kawałka drogi wśród świerków opuszczającego się tu aż na dno doliny lasu, dochodzimy, kierowani słuchem, do małej siklawy, słusznie zwanej «Szumem».

Wodospad ten tworzy Bętkówka, opadając raptownie szerokim na $1\frac{1}{4}$ metra strumieniem 4 metry niżej, w maleńkie jakby jeziorko, okolonie ścianami z tufu wapiennego.

Przypatrzywszy się dostatecznie pięknemu widokowi, który widzieliśmy pierwszy raz w życiu, ruszyliśmy z biegiem szerszego już znacznie strumienia, na południe. Mijając z lewej strony wysoką «Skałę Sokolą», a za nią las i wzgórze zwane Boleszynem, po wyminięciu drugiego już na Bętkówce młyna, dochodzimy do ładnego zalesionego wąwozu po prawej stronie.

Przy młynie dowiedzieliśmy się, że chcąc iść obejrzeć drugi wodospad na Bętkówce, trzeba zwrócić się do stojącego na początku owego wąwozu, po prawej stronie, budynku straży pogranicznej i zameldować tam swoje nazwisko. Uczyniwszy to, ruszyliśmy dalej Bętkowską doliną ku południowi.

Uszedszy z ćwierć wiorsty, zauważyliśmy głucho jednostajny pomruk — szum opadającej masowo wody. Przeszedłszy jeszcze z tysiąc kroków, stanęliśmy nad wodospadem Szerokim. Bętkówka, rozciągająca się w tym miejscu już na jakieś 70 metrów, całą szerokością swą opada kilkunastoma smugami, prawie zlewającemi się w jedną kotlinę, z wysokości $4\frac{1}{2}$ metrów. Opadająca woda rozpryskuje się w miliony kropelek, które na kilkadziesiąt kroków wokół zraszają wszystko obficie, a zdaleka wyglądają na białawe, lub jeżeli słońce rzuca swe jasne promienie — to tęczowe, półprzezroczyste, nigdy nie znikające obłoczki.

Tegoż dnia jeszcze wróciliśmy do Ojcowa i zapuściliśmy się w dolinę Sąspowską. Przenocowaliśmy u jednego z gospodarzy.

XV.

Sąspowską doliną.

Na drugi dzień rano po wyjściu z domu skierowaliśmy się na lewą stronę przepływającej tuż obok Sąspówki i minąwszy skały: Czubatą,

Krzyżową, Oborzysko, Nalepę, i Do wrót — z grota przechodnią — doszliśmy do łowej Skali i znajdującej się w niej niewielkiej groty tejże nazwy. Przeszedłszy następnie na prawą stronę Sąspówki, wróciliśmy się z powrotem w stronę Ojcowa, zwiedzając po drodze góry i groty Sąspowskiej doliny i jej licznych odnóg. Doszliśmy wkrótce do wąwozu Jamki.

Jest to największa odnoga Sąspowskiej doliny. Kamienista droga, przez Jamki prowadząca do Czajowic, należy do piękniejszych, bo mnóstwo skał, wystających licznie z pośród rosnącego tu wszędzie lasu i wiele ukrytych w tych skałach grot, sprawia bardzo przyjemny i ciekawy, choć może zbyt ponury widok.

Nie zapuszczając się w głąb Jamek, zatrzymaliśmy się przed wielką poszarpaną skałą po lewej stronie wąwozu i wdarszy się na nią, doszliśmy do groty Zbójeckiej. Pieczara ta, składająca się z dwóch komór, znacznie przy końcach zwężających się, ma do 37 metrów długości, przy szerokości, równej zaledwie 2 m. Znajdujący się po prawej stronie od wejścia otwór w kształcie okienka nasunął ludziom przypuszczenie, że zbójcy ukryci w pieczarze wyglądali tędy, czyhając na przejeżdżających podróżnych. Po zejściu z góry, mijając wąwóz Wpradło, po prawej stronie znaleźliśmy grota Białą. Ciekawa to grota. Stanowi ona wązki kurytarz, długości przeszło 50 metr., w głębi bardzo obniżający się. Ponieważ cała góra, w której ta grota się znajduje, jest z białego wapienia krystalicznego, ściany jej błyszczą przepięknie przy świetle pochodni lub

świec. Za Białą grota w pewnej odległości drapiemy się znów przez krzaki na górę, żeby zwiedzić grota Krakowską. Ta grota, podobnie jak Biała, nie ma ścian zakopcanych, lecz czyste, białe. — Składa się z trzech komór, a właściwie jednej, rozdzielonej filarem tak, że powstałe wskutek tego ciasne przejście pozwala przedostać się wewnątrz jedynie schylonemu.

Po tej stronie Jamek ma być więcej grot, ale ich nie zwiedzaliśmy już, tylko przeszedłszy na drugą stronę i zobaczywszy u góry niedostępną, bez drabin — dwa otwory groty Malesowej, następnie zwiedziwszy grota Pustelnię — wprost Wpradła — wyszliśmy z Jamek do Sąspowskiej doliny. Minąwszy po prawej stronie wąwozik Pukłowiec, prowadzący na Chelmową górę ku grocie Łokietka, przypatrując się następnie wąwozowi, położonemu po drugiej stronie Sąspówki zwanemu Błotny dół, a który prowadzi na Złotą górę, znów obok Hercówki wróciliśmy nad szemrzący Prądnik i po kilkunastu minutach byliśmy już w parku Ojcowskim.

Po odpoczynku przyłączyliśmy się do dwóch księży, którzy z przewodnikiem wybierali się do grot Łokietkowskiej i Ciemnej. Poszliśmy drogą, gdzieś ulepszoną czymś w rodzaju schodków z kamienia, a prowadzącą na najwyższy szczyt w całej okolicy Ojcowa — górę Chelmową.

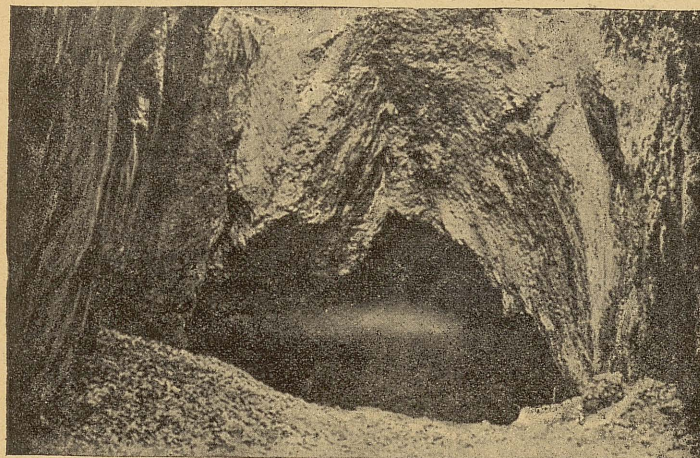
Góra ta, wysoka przeszło na 380 m., zalesiona wierzchołek swój ma upiękuszony czarnym krzyżem żelaznym z złożoną postacią Chrystusa na nim. Jest to dar byłego biskupa lu-

belskiego ks. Baranowskiego. Wszedźszy w samo południe na szczyt góry Chełmowej, zatrzymaliśmy się na nim przez kilkanaście minut, podziwiając roztaczający się stąd wspaniały i szeroki widok na Kraków, kopiec Kościuszki i Krakusa, za nim szaroniebieską smugę Tatr, ubielonych śniegiem na szczytach, bliżej zaś na wsie Smardzowice, Białkościół, Modlnicę i wiele innych. Nasyciwszy wzrok pięknym widokiem, wracając najpierw poprzednią drożyną, a następnie zbaczając na lewo inną ścieżką wśród gęstych zarośli i lasu, pokrywającego stoki Chełmowej góry, doszliśmy wkrótce do otworu groty Łokietka pomijając znajdujące się w pobliżu groty Tunel i Małą, a także niżej położoną ciekawą grootę Sowią jamę.

Stanąwszy przed otworem jaskini Łokietka, stanowiącym trójkątną, wąską dość szczelinę w rozdartej tu od dołu skale, gdy przewodnik otworzył nam zamknięte na kłódkę drewniane podwoje pieczary, po zapaleniu wziętej przez niego pochodni, ruszyliśmy w głąb czeluści. Przeszedźszy dość szeroki chodnik, znaleźliśmy się w wielkiej, podługowatej komorze (dł. 50 m. szer. 20, wys. 5 m.). Po obejściu jej, ciasnym kurytarzem doszliśmy do drugiej sali i zagłębienia, zwanego kuchnią Łokietka, opatrzonego otworem, jakby kominem. Zszedźszy następnie na dół, po dojściu do jeszcze większej niż poprzednie auli, której dno, dziś rozkopane, jest nierówne i wilgotne, a stalaktyty i stalagmity pokrywają ściany i zwieszają się ze sklepienia, znaleźliśmy się w owym miejscu, gdzie ongi, w czasie za-

wieruch i walk o swe prawa królewskie, Łokietek ukrywał się długi czas przed wielkorządcami Wacława Czeskiego.

Stąpając ostrożnie wokoło komory, przewodnik zaprowadził nas do niewielkiego wgłębienia w ścianie jaskini, do tak zwanego łoża Łokietka,



Grota Łokietka.

objaśniając nas, że tu właśnie sypiał ów król. Wracając tą samą drogą, bo innej niema, stanęliśmy po upływie kilku minut u wejścia.

Grota Łokietka, zwana jest też Czajowską, od gruntów, na których leży, lub Królewską, z powodu, że ją w 1787 r. zwiedzał Stanisław August. W r. 1870, gdy rozkopywał ją i badał hr. Zawisza, zawierała w dolnej komorze mnóstwo kości niedźwiedzia jaskiniowego, który w jamie

tej musiał mieć swoje legowisko, gdy go kataklizm dziejowy zatopił.

Znalazszy się przed grota, skręciliśmy ścieżką cokolwiek na dół i na lewo. Po upływie kilkunastu minut przeszliśmy wąwozik Ciasne skałki i znaleźliśmy się przy Krakowskiej bramie; po przeprawieniu się na drugą stronę Prądnika, stanęliśmy niedaleko skały Igły, skąd stroma ścieżka prowadzi wysoko, prawie pod szczyt Rękawicy do otworu groty Ciemnej czyli Ojcowskiej.

Wejście do groty Ciemnej jest, podobnie jak w grocie Łokietka, Wierzchowskiej i Jerzmanowskiej — zamknięte, i przewodnicy tylko mają klucze od drzwi.

Zapuszczając się coraz głębiej w jaskinię, znaleźliśmy się w Wielkiej, bo blisko 80 m. długiej, 30 szerokiej i 18 m. wysokiej sali. Woda, ściekając miarowo ze sklepienia, tajemniczo szeleści, osadza od wieków i na dnie pieczary rozpuszczony w niej węglan wapnia, z którego kiedyś powstała stalagmity, u sklepienia zaś powoli formuje coraz większe nacieki wiszące. Mijając w głębi niski kurytarz, dochodzimy do drugiej sali, podzielonej wielkim, długim filarem na dwie nierówne części, z których każda posiada po kilka niewielkich, zamulonych odnóg.

W grocie Ciemnej w czasie najazdów tatarskich podobno ukrywali się okoliczni mieszkańcy; to też brak w niej szczątków zaginionych zwierząt nasuwa przypuszczenie, że właśnie owi ukrywający się tu ludzie oczyścili jaskinię z kości, celem udogodnienia sobie pobytu.

Urok, jaki groty te sprawiają na zwiedzające-

go po raz pierwszy, takie dziwy przyrody pięknie i wiernie opisał Franciszek Wężyk w następujących słowach:

Gdzie widok zamku w ciemnych lasach ginie,
Są dwie czasu potęgą wykute jaskinie,
Hydnych potwór lub zwierząt drapieżnych sie-

[dlisko,

Jedna ma Ciemnej, druga Królewskiej nazwi-
[sko.

W nich cichość i noc wieczna rządzą wielo-
[władnie

Nigdy się tam dnia, gwiazdy promyk nie za-
[kradnie

Ani księżyc srebrnego światła nie przepuści.
Szarpia się wiatry wewnątrz głębokich cze-
[luści.

Słyszac ich świst okropny i ciągłe wydmuchy,
Mniemałbyś, że tam jęczą czarnych piekel
[duchy

Wyszliśmy z groty. Księża, odpocząwszy znowu na ławeczce, przypatrywali się dolinie Prądnika. Myśmy próbowali się wdrzeć na wznoszące się tu palce Rękawicy, aby stamtąd przyrzec się jednemu z najpiękniejszych tak zwanych Ogrójców, t. j. niewielkich przestrzeni, otoczonych ze wszystkich stron niedostępnymi skałami. Ogrójce, suto pokryte właściwą tylko Ojcowskim skałom roślinnością, posiadają też właściwą sobie faunę. W nich to pod korzeniami drzew gnieździ się ciekawy wąż *Coluber laevis*, po deszczach spuszczaący się w dolinę na łąki, celem chwytania żab, które stanowią jego pożywienie.

Po drodze do Saspowazwiedziliśmy groty Koziańnię, Sadłową i kilka mniejszych; resztę dnia i noc przepędziliśmy w Sasporwie.

XVI.

Przez polską Saharę.

Przeszedzsy przez skręcający tu ku północy wąwóz Sasporwsky i minąwszy wieś Galkowice, znaleźliśmy się w Przegini. Od tego już miejsca zaczynają się piaski — usypane wapiennymi głazami, i mnóstwem szczątków kopalnych mięczaków-amonitów. Przez kolonję Sieniczo, jednym morzem piasku doszliśmy do stromej góry, na której wznoszą się szczątki zamku Toporczyków z Rabsztyna.

Zamek Rabsztyński, budowany w kwadrat na osobno stojącej górze, zakończonej potężną skałą, do której mury zamczyska są jakby przylepione, zachował do dziś po stronie północnej i wschodniej część ścian z podwójnym szeregiem okien, bramę bez drzwi i dolną część swej potężnej baszty zwalonej. Nad bramą pozostałe okno posiada resztki górnego gzymsu. Całą budowlę niedostępną prawie od południowozachodu, bo skała tu wznosi się niemal zupełnie prostopadle, otaczał gruby mur, z którego dziś tylko resztki gdzieniegdzie się zaledwie utrzymały. Zamek, zbudowany z kamienia

i cegły, opustoszały już oddawna, gruzem swoim osypał całą powierzchnię góry i gruzu tego użył okolicznym mieszkańcom na budulec dla ich domów. Bujne zielska rozrosły się na murach, gdzie się tylko warstewka ziemi znalazła; w otworach ptaki gniazda sobie uwiły. Cicho tu



Ruiny Rabsztyna.

i smętnie, wicher tylko muska twarz turysty, zapatrzonego gdzieś tam w monotonną, z piasków samych i ciemnych smug lasów utworzoną, bezbrzeżną pagórkowatą dal.

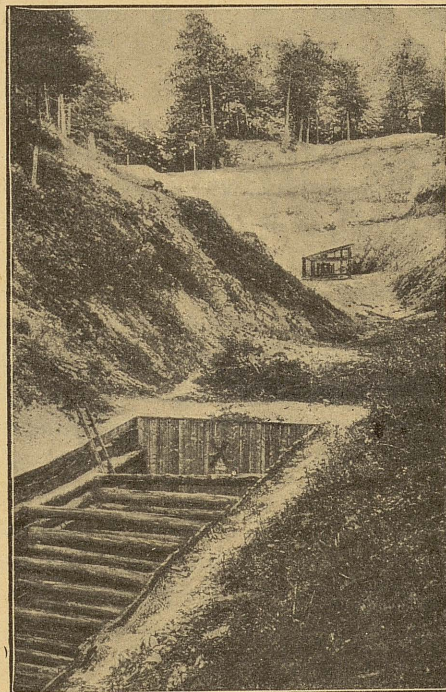
Groźne niegdyś mury, którei ów słynny Spytko z Melsztyna władał po Toporczykach — przypuszczalnych pierwotnych właścicieli i założycieli Rabsztyna, a które mu w roku 1469 skonfiskowano zato że podczas obrad w Korczynie

złupił senatorów i Franciszkanów klasztor,— zbytnio się w dziejach nie zaznaczyły. Przyszedszy, wraz z dobrami na własność króla, jako starostwo niegrodowe pod koniec XVI stulecia dane były znanemu Sewerynowi Bonarowi. W tymże czasie, bo roku 1587, gdy 2,000 niemieckich wojsk, wysłanych na posiłki arcyksięciu Maksymiljanowi, współzawodnikowi Zygmunta III-go, starającemu się o polską koronę, miało Rabsztyn, słynny partyzant Gabrjel Hołubek, ukryty tu, napadł z nienacka w sto koni na Niemców i rozproszywszy ich haniebnie, przy pomocy przybyłych jeszcze górników olkuskich sporo wziął jeńców i obóz cały zdobył.

Zygmunt III Rabsztyńskim starostwem obdarował Mikołaja Wolskiego, marszałka W. koronnego. Wolski zamek odbudował i znacznie przyozdobił, ale budowla ta zniszczona została niedługo i spalona przez Szwedów, i od tego czasu podźwignąć się nie mogła, rujnując się coraz więcej. Obszedzły mury naokoło, ruszyliśmy wapienną pylną szosą ku Olkuszowi.

Pod względem geologicznym, okolica tutaj przedstawia dość dużą rozmaitość. Biała Jura Krakowska kończy się o parę wiorst na wschód od Olkusza i Rabsztyna, ustępując miejsca Jurze brunatnej, która wązkim pasem rozciąga się na całym zachodnim pograniczu Jury Białej — Krakowsko - Wieluńskiej. Mijając Rabsztyn, wchodzimy już na obszary trjasowej formacji, mianowicie stąpamy po środkowym jej piętrze — wapieniu muszlowym, cechującym się jak sama nazwa wskazuje — obfitością znajdujących w nim szczątków skorup mięczaków za-

ginionych. Wapień muszlowy występuje tu szerokim pasem, otaczającym w półkole z trzech stron, z wyjątkiem południowej, całe Zagłębie Dąbrowskie, należące do starszych formacji: węglowej i permskiej. Formacja węglowa również na południe od Sławkowa i Olkusza, już za granicą austriacką, wrzyna się cienkim klinem w trjasowe pokłady i, dochodząc w stronę Ojcowa, występuje w Królestwie w okolicy wsi Szklary, znajdującej się przy końcu Sztolnia Ponikowska pod Olkuszem. Jerzmanowickiego wąwozu.



Sztolnia Ponikowska pod Olkuszem.

Formacja Permska, nazwana tak przez Murchisona z powodu, że najwięcej rozwinięta jest w Permskiej gubernji, której pokłady składają się przeważnie z czerwonych piaskowców, miękkiej czerwonej glinki łupkowej, cienkich warstewek węgla, a często też wapieni dolomitowych, w Pol-

sce występuje w niewielu zaledwie miejscach. W obrębie Królestwa w trzech ją tylko miejscach i to na bardzo małych przestrzeniach spotykamy: pod Kajetanowem obok Kielc (na półn. wsch.), gdzie występuje w postaci czarnych marmurów, — na zachód od wspomnianych wyżej Szklar, przylegając w zachodniej stronie do trjasu, a z innych stron będąc otoczoną owym pasem węglowej formacji, — wreszcie, krętym pasem, szerokim mniej więcej na dwie wiorsty, wylania się pod Łazami za Sławkowem, i, podążając półkolem ku północy przez Siewierz, skręca na zachód do pruskiej granicy Ślązka, pod Ożarowicami granicząc znowu z wapieniem muszlowym. Równolegle do tego wężowatego pasa permskiej formacji, na północ, ciągnie się dolne piętro trjasu, tak zwany piaskowiec pstry, a dopiero za nim, szerzej już, wa pień muszlowy.

O pół do piątej, znaleźliśmy się w Olkuszu.

Olkusz, dziś miasto powiatowe z ludnością przeszło 5-o tysięczną, nie odznacza się niczym nadzwyczajnym. Z sześciu w nim dawniej istniejących kościołów pozostał dziś jeden zaledwie. Fara ta, jak tu zowią ten kościół, zbudowana została za czasów Władysława Łokietka. Przedstawia ona gmach prostej ostrołukowej budowy, dokładnie wykończony. Przy kościele tym byli dawniej kanonicy regularni. Z pamiątek, pozostałych w farze, bogato obdarowywanej przez dawnych mieszczan olkuskich — górników, na szczególniejszą uwagę zasługuje wielki, bo dwa łokcie wysoki, a wagi przeszło 40 funtów krzyż

z Olkuskiego srebra, pochodzący z XVI wieku. Prócz tego krzyża ciekawą jest chrzcielnica z r. 1687, z ołowiu zrobione stalle z r. 1594, — wielki ołtarz z XVI wieku i ołtarz w kaplicy św. Anny z XV wieku. W skarbcu prócz tego mieści się 7 srebrnych kielichów, — darów różnych tu-tejszych mieszczan. Po dawnej kolegiacie pozostały też stare rękopisy z XV stulecia.

Przy cmentarzu kościelnym obejrzelśmy domek, w którym mieszkał św. Jan Kanty, proboszcz tutejszy, oraz wystawioną tu w roku 1738 na jego cześć kaplicę.

Za to dzieje miasta, ściśle związane z dziejami tutejszych kopalni, wiele bardzo nam mówią. Kiedy założono Olkusz — niewiadomo, przypuszczają jednak, że już osada górnicza istniała tu w końcu XII stulecia. Pierwszą historyczną wiadomość o Olkuszu podaje dopiero przywilej nadany przez Bolesława Wstydliwego Franciszkanom w Skale (Grodzisku): król ten uposaża w r. 1262 klasztor rocznym dochodem w ilości 2 grzywien złota od kopalni ołowiu w Olkuszu. Od tego czasu również ów Ilkusz lub Ilcussia był miastem na prawie niemieckim.

Ale dopiero Kazimierz Wielki, opasawszy miasto murem, zbudował kościół św. Andrzeja i założył klasztor Augustjanów, i on to głównie przyczynił się do sławy kopalnianej Olkusza. Siostra jego, Elżbieta, matka Ludwika Węgierskiego, jeszcze więcej popierała rozwój miasta; na dała ona w roku 1374 mieszkańcom Olkusza przywileje, że przez 6 lat każdy z nich będzie miał prawo wydobywania rud srebrnych i oło-

wianych, byleby uiszczał skarbowi królewskiemu 11-ą grzywnę, jako tak zwaną olborę czyli podatek od kopania. Oplacający olborę, tak zwani gwarkowie, stanowili jakby stowarzyszenie, do którego wiele zamożnej szlachty się garnęło, a dzięki przywilejom, których im nie szczędzono, rośli w bogactwa bardzo szybko, mając ułatwione wydobywanie i zbyt rud kopalnych. Jagiełło w roku 1426 dla pracowników w kopalniach olkuskich utworzył osobny sąd żupniczy. Jan Olbracht w roku 1505 przepisał osobne prawa dla górników w tak zwanej ustawie «Statuta montana Ilcussiensia». Zygmunt I w r. 1345, potwierdzając dawne przywileje, pozwolił również osiedlać się w Olkuszu przybyszom, byleby nie zbrodniarzom, i z warunkiem opłacania olbory.

Że w czasach tych kwitły kopalnie olkuskie, dobitnie wskazuje Łukasz Opaliński w dziele swym p. t. «Polonia defensa contra Barclaium». Podaje tam on roczną ich produkcję na 6,000 marek srebra i 50,000 centnarów ołowiu. W początkach kopano rudy w jednej tylko górze.

W roku 1549 — powstała pierwsza sztolnia Starczynowska, po niej Ponikowska, następnie Pilecka i jeszcze trzy inne mniejsze.

W Olkuszu istniała też mennica, czynna już za Batorego, a zamknięta w końcu panowania Zygmunta III, w roku 1630.

Kopalnie w połowie XVI wieku zaczęły upadać, z powodu złej gospodarki panów. Korzystając z rud, panowie ci nie chcieli łożyć na ich wydobywanie. Najazd szwedzki, a z nim fantazja gien. Müllera w r. 1655, który nałożył na

Olkusz kontrybucję i wszystkich górników zabrał do swej armji, oblegającej klasztor Częstochowski, gdzie przeważnie wyginęli, — kopalnie zrujnował. Jan Kazimierz następnie kopalnie wydzierżawił, a dzierżawcy, nie dbając o dobre utrzymanie, rabunkową gospodarką do reszty prawie wszystko zniszczyli. Do tego, w r. 1674 rozlewająca się pod Olkuszem szeroko wśród obfitych tu, szczególnie w dolinie Przemszy, lotnych piasków, rzeka Baba, niknąca w nich bez śladu na pewnej przestrzeni, wylała, zamulając wszystkie sztolnie i nie można było jej potem odprowadzić. Jan III, próbując wznowić dawny stan kopalni, rozmaitemi środkami starał się ożywić je, ale nadaremnie. Drugi najazd szwedzki w roku 1702 zniszczył doszczętnie miasto i okolice. Szwedzi wzięli wszystkie zapasy ołowiu i nałożyli na gwarków 30,000 złp. kontrybucji. Przez kilka lat tych wojen kopalnie ostatecznie zniszczyły się, przytym w r. 1712 dwie główne sztolnie: Ponikowska i Pilecka — zapadły się. Odtąd tylko niewiele kopano ołowiu.

August II w r. 1728³ sprowadził górników z zagranicy, i ci znaleźli zaledwie 6 szybów otwartych, w które głębiej niż na 7 sążni zapuścić się nie było można, bo były zalane i zamulone. Z rud, kopanych jeszcze w okolicznych trzech hutach, odciągano trochę srebra. August III miał w Pactach conventach zastrzeżone podzwignięcie kopalni olkuskich.

Na sejmie w r. 1764 uchwalono utworzenie kompanji (towarzystwa) choćby z cudzoziemców-kapitalistów, któraby zajęła się wznowieniem ko-

palni olkuskich. Komisja skarbową przeznaczyła też wówczas nagrodę za wynalezienie sposobu osuszenia żup z wody, ale dopiero w roku 1779 utworzyło się Towarzystwo akcyjne. Projektowano znaleźć 300 akcjonariuszów, każda akcja miała wartość 500 złp. Sam król Stanisław August zakupił 12 akcji, ale z powodu, że projektowana liczba akcjonariuszów nie znalazła się, Towarzystwo ograniczyło się tylko do zbierania okrucich dawniej wydobywanych rud i w dwa lata musiało być zwinięte, gdyż woda znów szyby wypełniła. Jeszcze kilkakrotnie w pierwszej połowie XIX wieku próbowano osuszyć kopalnię, lecz na próżno. Dopiero w roku 1883 sztolnia Ponikowska zaczęła funkcjonować, a po niej sztolnia Czartoryska. Sztolnia Ponikowska w roku 1900 znowu była zalana przez Babę, ale przeprowadzony z niej szeroki kanał, odprowadzający wodę, usunął niebezpieczeństwo.

Ta «Baba», która tylokrotnie narobiła kłopotu Olkuszanom, wypływa pod Sienicznem, znaną nam już wioską, na wschód od Olkusza. Ginąc w piaskach wychodzi dopiero o 4 wiorsty na zachód od Olkusza, pod wsią Starczynowem, wpadając tam do dopływu Przemszy — Stoły. Przyczyną jej znikania pod ziemią jest tak zwana kurzawka, niebieskawa ziemia piaskowo-gliniasta, znajdująca się pod warstwą lotnych piasków, pokrywających znaczne przestrzenie, słusznie zwane z tego powodu Polską Saharą.

Dziś w okolicy Olkusza kopią galman t. j. rudę cynkową, i galenę czyli rudę ołowianą (siarek ołowiu) z małą domieszką srebra.

W r. 1583 Żydzi, za pozwoleniem Batorego, wystawili w Olkuszu synagogę, lecz nie mogli być gwarkami ani handlującymi rudą, bo Zygmunt III wydał zakaz, a Jan Sobieski zakaz ten powtórzył, gdyż widać nie był ściśle przestrzegany. Po wojnie szwedzkiej wielu ich się w opustoszałym Olkuszu osiedliło, kupując za bezcen domy, a raczej ich zwaliska.

W roku 1787 Olkusz i okolicę zwiedził Stanisław August, będąc na wstępie do miasta przywitany przez magistrat.

Minąwszy to miasto, słynne nie tylko ze swych kopalni, ale z tego, że pochodziło z niego dwóch słynnych matematyków — Marcinów; ojciec i syn, ten ostatni — kolega Kopernika i jeden z autorów projektu reformy gregoriańskiej kalendarza, po jako tako brukowanych ulicach doszliśmy do zachodniej rogatki Olkusza obok spacerowego ogrodu, kierując się szosą koło szybów kopalni galmanu ku osadzie Bolesław z ciekawym, istniejącym już od 1621 roku kościołem parafialnym.

Nie dochodząc Bolesławia, zeszliśmy z szosy ku położonym prawie obok niej szybom, któreml wyciągają galman. Nad każdym szybem wznosi się dach lub, jeżeli szyb jest większy, to cały domek drewniany.

Zagląдалиśmy w te otwory, gdzie na windzie spuszczone są powolnie co parę minut kosze, a za chwilę wyciągane są nazewnątrz napelnione żółtawą rudą cynkową. Lochy tych kopalni wewnątrz przedstawiają się jako wąskie kurytaryze, podparte belkami i zalane nieraz u spodu

wodą. Do szybów dochodzi wszędzie prawie wążkotorowa kolejka, wagonikami zwozi się galman w jedno miejsce i układa w postaci sześciennych sążni skąd już rudę tę odwożą do hut w Olkusz lub wysyłają gdzieś dalej koleją. Ogólna produkcja galmanu w obrębie Królestwa wynosi niespełna 4 miliony pudów rocznie.

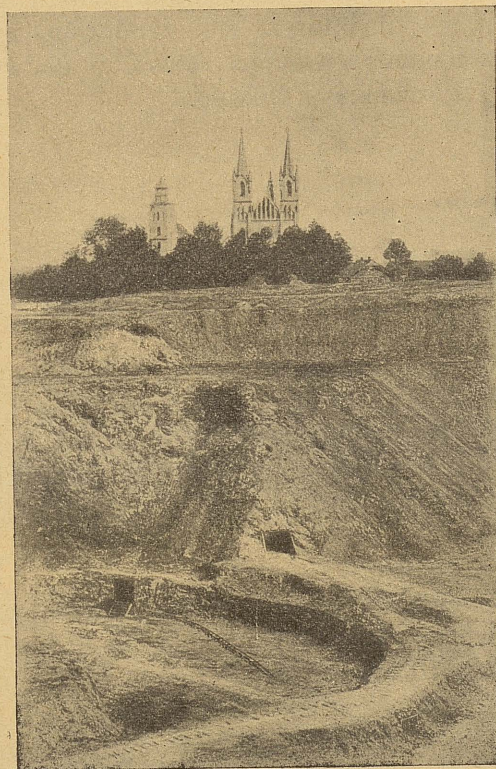
Powróciwszy na szosę, minęliśmy wkrótce Bolesław. Pagórkowatą, niezbyt ciekawą drogą, przeszliśmy po moście Białą Przemszę — znaleźliśmy się w Sławkowie.

Osada ta liczy dziś około 5,000 mieszkańców i rozwija się pomyślnie, szczególnie od czasu przeprowadzenia tędy kolei Iwangrodzko-Dąbrowskiej. Posiada między innymi zakładami przemysłowymi walcownię blachy cynkowej i odlewnię żelaza. W okolicy miasteczka znajdują się pokłady żwiru i gliny.

Krętami wążkami uliczkami, wśród domków o starożytnym wyglądzie, doszliśmy do kościoła parafjalnego, mającego piękny grobowiec biskupa Jana Sołtyka.

Sławków od dawien dawna należał do biskupów krakowskich. Jeden z nich, Pełka, herbu Lis, zbudował tu kościół pod wezwaniem św. Jana i osadził przy nim w 1203 r., kanoników regularnych, których w 20 lat później biskup Jan Odrowąż przeniósł do Krakowa. Równocześnie z kościołem św. Jana istniał już i parafjalny kościół św. Krzyża. Miasto otoczone było murem i dzięki licznie spływającym na nie od właścicieli przywilejom, rozwijało się pomyślnie i dopiero w końcu XIV stulecia zaczęło upadać.

Wówczas biskup Piotr Wysz nadał mieszkańcom duże obszary gruntów, zachęcając ich do poszukiwania kruszcu ołowianego, wyczerpanego



Kopalnia galmanu pod Bolesławiem.

w dawnych kopalniach. W r. 1455 Sławków został ograbiony i spalony przez Niemców ze Śląska i od tej pory nie mógł się dźwignąć, choć Zygmunt I obdarzył miasteczko nowymi przywi-

lejami. Gościł też w Sławkowie August III zaraz po swoim obiorze na króla polskiego. Tutaj też przenocowaliśmy.

Na drugi dzień ruszyliśmy w dalszą drogę, przez rynek, na którym stoi zbudowany jeszcze za Kazimierza Wielkiego ratusz, o podwójnym dachu i z kolumnami wokoło.

XVII.

W Zagłębiu Dąbrowskim.

Po przejściu trzech wiorst, znaleźliśmy się w osadzie u znajomych państwa F., gdzie zatrzymano nas na obiedzie. Następnie z młodszym panem F., pracującym w jednej z tutejszych kopalń węgla, udaliśmy się do zabudowań kopalni Feliks II. Jest to jeden z najstarszych szybów w Zagłębiu.

Po obejrzeniu maszyn, poruszających windy, i olbrzymich żelaznych szuflad, w których wyciągane z szybu węgle segregują przez odpowiednie sita na gatunki różnych wielkości, a następnie wysypują do podstawionych wagonów kolei żelaznej, — weszliśmy na piętro; małe ogrodzenie zamyka dwie czeluście, skąd naprzemian co parę minut wyciągają windę na grubej stalowej linie. Gdy jedną pustą windę obstarpią górnicy z migotliwymi lampkami u pasa i po przeżegnaniu się spuszcza ją się w niej w głąb tej czarnej krainy podziemnej, — druga zaraz po-

jawia się z głębi, pełna czarnego błyszczącego węgla. I tak ciągle.

Kopalnię Feliks II jak i położoną trochę dalej na zachód, nowszą — Kazimierz, którąśmy również zwiedzili, założono w roku 1830. Były one obok kopalni Milowieckich, w Zagórzcu, Sielcach i Bobiku, a także najdawniejszej (bo w 1796 otworzonej) w Dąbrowie — najpierwszymi i największymi w Zagłębiu.

Nad wieczorem byliśmy w Dąbrowie Górniczej. Osada ta, licząca do 30,000 ludności, przeważnie napływowej, składa się z kilku dzielnic, jako to: Starej Dąbrowy, Redenu, Huty Bankowej, Ksawerego, Marcelego i t. p.

Najpierw w okolicach Dąbrowy kopano węgiel sposobem odkrywkowym, to jest zdejmując w pewnych miejscach warstwę ziemi, pokrywającą pokłady węgla. W r. 1769, jak już wyżej wspominałem, w kopalni Reden, nazwanej tak od ministra pruskiego, gdyż Zagłębie było wówczas pod pruskim zaborem, wywiercono pierwszy szyb.

Dzielnica Reden najludniejsza teraz w Dąbrowie, położona po obydwóch stronach szosy, posiada mnóstwo domków z ogródkami, zamieszkiwanych przez górników. W niej znajdowało się niegdyś kasyno, gdzie odbywały się zabawy, w dzień św. Barbary, patronki górników, tu też powstał pierwszy szpital górniczy. Ośłania go szereg wysmukłych topoli.

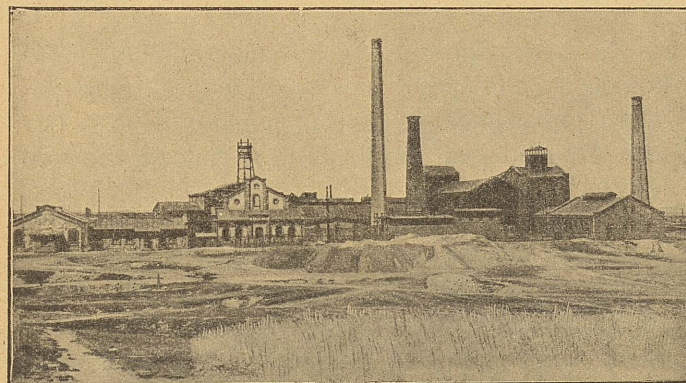
Kopalnia Reden, wraz z przyległościami, należy do tak zwanej Huty Bankowej, akcyjnego towarzystwa przemysłowego, nazwę swą zawdzięczającego (roku 1839) b. Bankowi polskiemu,

którego była własnością. Towarzystwo to posiada, prócz kopalni węgla, 3 wielkie piece, fabrykę stali, walcownię żelaza, drutu i blachy. Obok Huty była tu do r. 1859 kopalnia «Cieszkowski», która sama jedna dostarczała do 3 milionów pudów węgla rocznie, ale wszczął się w niej pożar i żeby go ugasić, zalano kopalnię wodą; ta jednak nie dała się już potem wypompować. Straconą w ten sposób kopalnię zasypano ostatecznie żużlami z wielkich pieców, czyli tak zwaną «szlaką». Żużle te zrównały wszystkie nierówności na miejscu kopalni — ale też uniemożliwiły na zawsze chyba eksploatację węgla w tym obszarze. Również z dawnych odkrywek Redenu z czasem pozostanie tylko wspomnienie. Wagonami zwożą do nich żużle i zasypują te zagłębienia mieszczące się wśród pól i trawą zarośnięte.

Przeszliśmy szereg ulic wśród zadymionej ciężkiej atmosfery, spotykając co chwila mnóstwo przepływających potoków ciepłej, brudnej wody, odprowadzanej kanalikami z fabryk do większych zbiorowisk, tworzących jakby bagniska, o bardzo nieprzyjemnym zapachu. Nareszcie, minąwszy ulicę Francuską — tak nazwaną, ponieważ mieszka przy niej wielu Francuzów, pracujących w położonej przy tej ulicy hucie Bankowej, weszliśmy znowu na szosę, prowadzącą do Będzina, pełną ładownych wozów, kurzu czarnego, dymów i oparów.

Wogóle, o ile wszędzie do tej pory każde miasto interesowało nas swymi osobliwościami, o tyle w Dąbrowie Górniczej, pomimo, iż nie mniej, a może i więcej [niż gdzieindziej jest

ciekawych rzeczy, nie mogliśmy się zdecydować na pobyt dłuższy niż godzinę czasu. Coś tu przygniata człowieka, przygnębia. To też zastanawialiśmy się, jak mogą górnicy wytrzymać, żyjąc w tej kopczącej osadzie, i w zimie przez cały tydzień, z wyjątkiem niedziel i świąt — świata bożego



Widok kopalni węgla.

za dnia nie oglądając, bo gdy wejdą do kopalni rano o 6-ej, gdy jeszcze ciemno, wracają o 6-ej, gdy już zmrok panuje.

Węgiel kamienny w obrębie Zagłębia Dąbrowskiego zajmuje przeszło 10 mil kwadratowych, w niektórych miejscach wylaniając się prawie na samą powierzchnię gruntów. W ostatnich latach roczna produkcja węgla wszystkich kopalni Zagłębia wyniosła przeszło 300 milionów pudów. Obliczają, że węgla starczy jeszcze przeszło na 100 lat, bo jest go w ziemi blisko mi-

l jard metrów sześciennych, co się równa mniej więcej 10 miliardom korcy.

Węgiel kamienny dąbrowski wogóle może być podzielony na 3 gatunki: nadredenowski, redenowski i podredenowski. Najlepszy gatunek jest środkowy, przedstawia się też najbogaciej, bo w niektórych miejscach warstwa jego sięga 20 metrów grubości.

Za miarę dobroci węgla służy większa ilość koksu, a mała popiołu. Otóż węgiel nasz zawiera przeszło 50% koksu, popiołu do 3% (reszta przypada na części lotne), należy więc do lepszych.

Co do rozłożenia pokładów w okolicy, to przedstawiają się one jako trzy podługowate kotliny, rozdzielone od siebie rzekami i wapieniem. Pierwsza — od Modrzejowa i rzeki Brynicy do Sielc — obejmowała kopalnie: Milowice, Pogoń, Nadzieja, Ludwika (pod Sielcami), Dandówka (w Zagórzcu), Józef i Jacek (w Bobrku), Maurycy i Józef (w Niwce). Ta kotlina ma pokłady utworzone z 3 do 16 ławic węglowych, poprzedzielane ilastym łupkiem różnej grubości. Ciągna się one w rozmaitych kierunkach, raz w kształcie niecek lub garbów, to znów klinem wbijają się w ziemię.

Druga kotlina ciągnie się pośród gór wapiennych od Strzyżowic przez Psary na północ do Góry i Gołaczy, na południe przez Grodków, Grodziec i Łągisze do Będzina. Pokłady przeważnie nieckowate, niezbyt grube, o niewielkiej ilości ławic. Tu z lepszych należą ko-

palnie: Tadeusz i Hojma (koło Strzyżowic), węgiel z nich obfituje w smołę.

Trzecia wreszcie kotlina, najbogatsza, długa na półczwartej mili, ciągnie się między Będzinem, Gołonogiem, Sławkowem i Borem Biskupim, przy granicy austriackiej. Tu należą kopalnie: Ksawery, Nowa, Łabęcka, Cieszkowska, Reden, Feliks i wiele innych.

Była godzina 8, gdy przeszedł tor kolejowy, idący z Dąbrowy do Katowic, wstąpiliśmy w mury dość pokaźnie przedstawiającego się miasta Będzina.

Miasto to, powiatowe od roku 1867, liczy dziś przeszło 30,000 mieszkańców i rozwija się pomysłnie, stanowiąc jedno z ważniejszych ognisk przemysłowych i handlowych Zagłębia; $\frac{2}{3}$ mieszkańców stanowią Żydzi.

Pierwotnie miała być tu mała osada obok zamku wystawionego przez Bolesława Wstydlwego na skalistej górze. Zamek ten Kazimierz Wielki wzmocnił i osadę zmienił w roku 1358 na miasto o prawie niemieckim.

Według podania, nazwę swą Będzin też zawdzięcza owemu królowi, który, zatrzymawszy się tu na noc, miał wyrzec: «My tu będziemy — tam czeladź, a jeżeli mało będzie, to za górą» od czego i powstały nazwy sąsiednich sobie: Będzin, Czeladź, Małobądź i Zagórze.

Ponieważ książęta śląscy często napadali na Będzin, tu więc w roku 1434 zawarł z nimi Zbigniew Oleśnicki, biskup krakowski i kanclerz państwa, ugodę. W roku znów 1589 komisarze polscy przebywali tu, opracowując tak zwane

„pakty będzińskie“, zawarte w Storzynie na Śląsku, na mocy których Maksymiljan austriacki zrzekł się mniemanego prawa do korony polskiej, uznając Zygmunta III za króla.

Zamek będziński odrestaurowany był przez hr. Raczyńskiego w r. 1836 i przez jakiś czas mieścił w sobie szpital, dziś jednak pozostały z niego ruiny, lepiej coprawda zachowane niż w innych zamczyskach, któreśmy w podróży zwiedzali. Szczególniej baszta — ozdobnie zabkowana u góry, okrągła, gruba, najlepiej się utrzymała. Do południowej ściany tej baszty przylegają mury właściwego zamku, gdzie dawniej mieścili się komnaty zamkowe.

XVIII.

Ku Jasnej górze.

Nazajutrz wyruszyliśmy dalej, kierując się ku Siewierzowi i przechodząc przepływającą pod samym miastem Czarną Przemszę, a następnie wsie: Gzichów, Łagisze i Sarnów. Minawszy dwa razy jeszcze Czarną Przemszę i kilka wsi, znaleźliśmy się w Siewierzu.

Stare to miasto. Już w bulli Inocentego II, wydanej w 1136 roku, jest zdanie: «villam ante Biton quae Suersor dicitur cum rusticis argenti fossoribus» — nasuwające przypuszczenie, że ów Suersor jest właśnie Siewierzem. W końcu XII stulecia Siewierz należał do książąt śląskich

i dopiero w r. 1453 od Wacława księcia Cieszyńskiego kupił księstwo Siewierskie Kardynał Zbigniew Oleśnicki, płacąc 6,000 grzywien szerekich groszy czeskich, co na teraźniejsze pieniądze wyniesie około 36,000 rubli. Od tej pory Siewierz z okolicznymi włościami stał się własnością biskupów krakowskich, którzy od roku 1484 zwać się zaczęli książętami Siewierskimi. Stali się oni rzeczywiście udziałnikami na całej przestrzeni tego księstwa, utrzymując własne wojsko, bijąc własną monetę, sprawując zwierzchnie sądy i władzę nad mieszkańcami, a nawet samodzielnie nobilitując. Dziś — z miasta została zaledwie osada, licząca półtrzecia tysiąca mieszkańców, głównie chrześcijan. Do osobliwości dzisiejszego Siewierza należy zamek, starożytny ratusz na brukowanym rynku i kościół parafjalny, istniejący od XV wieku, a przebudowany w roku 1783. Drugi kościółek, stojący na cmentarzu pod wezwaniem św. Jana, zbudował słynny Piotr Duńczyk.

Obejrzawszy w przejściu kawałek miasteczka, skręciliśmy na wschód ku rozlewającej się tu szeroko wśród bagnistych łąk i zarośli Czarnej Przemszy. Między nią a miastem, na niewielkim pagórku, otoczonym wałem, — wznoszą się ruiny pięknego niegdyś zamku książąt Siewierskich.

Zamek ten istniał zapewne wprawdzie jeszcze niż osada, wiadomo jednak, że dopiero biskup Piotr Tomicki podźwignął go, i odtąd stał się on miejscem częstego, choć zwykle krótkiego, pobytu biskupów krakowskich, w czasie którego

mieszkańcy Siewierza korzystali z przywileju tak zwanej profesorki, t. j. prawa wysyłania synów do akademii, celem kształcenia ich na profesorów.

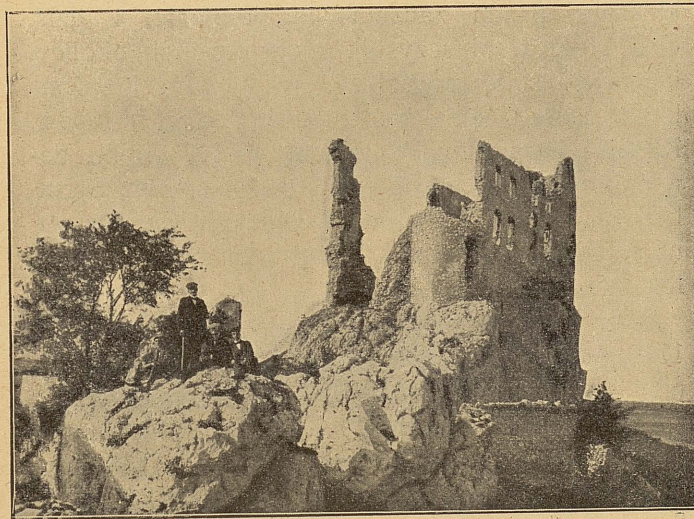
Zamku tego w r. 1655 bronił dzielny Stefan Czarniecki przed Szwedami. Na zamku Siewierskim przemieszkiwał dłużej biskup Kajetan Sołtyk, ostatnim zaś właścicielem i udzielnym panem księstwa był w końcu XVIII wieku biskup Turski, po którym Siewierz przyłączony został do państwa.

Przeszedzsy łąkę, stanęliśmy przed zwaliskami budowli.

Przedstawia ona spory czworobok, w którego północnej stronie mieści się brama i obok niej potężna ośmiokątna baszta z okienkami łukowatymi i strzelnicami. Druga baszta, od strony południowej, jak i całe jednopiętrowe mury, wśród których można rozpoznać pokoje, popękane są w wielu miejscach i porysowane, gdzieś mając na tynku rysunki, resztkę ozdobnego gzymsu lub podpierającego sklepienie filaru. Kamienne te i ceglane mury pozbawione są dachu i wogóle sprawiają smętne wrażenie.

Okolice Siewierza bogata jest w rudy żelazne, galman i węgiel brunatny, a także w trzaskowy wapień muszlowy, który tu na północy występuje szerokim pasem, ogrodzony od obszaru Zagłębia, gdzie występuje formacja węglowa, — cienkim, krętym pasemkiem djasu czyli permskiej formacji i dolnym piętrzem trzasku, — pstrym piaskowcem.

Wogóle na niewielkiej przestrzeni Będzińskiego powiatu występują po kolei wszystkie formacje, poczynając od dewońskiej, a kończąc na jurze białej u brzegów górnej Warty między Myszkowem, Częstochową i wsią Rudnikami



Ruiny zamku w Bobolicach.

Wielkim. Na granicy pruskiej Ślązka mamy dyluwalne piaski, które zresztą pokrywają i powierzchnię wszystkich innych pokładów mniej lub więcej grubą warstwą, właściwy grunt ukazując tylko na grzbietach wzgórz lub w wykwach, utworzonych przez rzeki.

Na noc stanęliśmy w Żarkach. Osada Żarki, licząca dziś przeszło 4,000 mieszkańców, była oddawna miastem, należącym kolejno do Mysz-

kowskich, Korycińskich i Warszuckich, nie mogła jednak rozwinąć się należycie. Dopiero od roku 1833, kiedy znany przemysłowiec Piotr Steinkeller założył w niej gisernię i parę innych fabryk, a następnie, gdy w 1837 r. założono tu przędzalnię bawełny, nabytą potem przez Szejblerów — osada zaczęła się podnosić, i dziś, choć leży w piaszczystej, nieurodzajnej okolicy, ma przed sobą przyszłość. Był niegdyś i w Żarkach zamek, ale dziś niema z niego śladów. Kościół parafjalny, istniejący od XV wieku, zamieniony został na nowy, w r. 1846 przez Steinkellera wzniesiony pod wezwaniem św. Szymona i Judy. Istnieje też drugi starożytny kościółek św. Barbary.

Żarki w historii upamiętniły się bitwą w roku 1712, jaką stoczyli w pobliżu między sobą stronnicy Leszczyńskiego i Augusta II-go.

Z Żarek ruszyliśmy do Złotego Potoku, mijając położone stąd zaledwie o milę na wschód ciekawe zwaliska zamków w Mirowie, i Bobolicach. Ruiny te, należące do Myszkowskich, którzy stąd też piszą się margrabiami na Mirowie, mało komu znane, są podobno nadzwyczaj ciekawe i malownicze.

Po przejściu położonej zaraz za Żarkami wsi Leśniów, z kościołem, należącym do OO. Paulinów z Częstochowy, okolicą bardzo piaszczystą, wśród sterczących tu co kawałek drogi sporych białych skał wapiennych, znaleźliśmy się blisko o 11-ej przed południem w lesie za wsią Czatahową. Odpoczywając przy drodze w zieleni sosen, zauważyliśmy naprzeciwko w skałach, drzewami

i krzakami suto zarośniętych, jakieś zagłębienia, co nasunęło na myśl, że skały te mogą zawierać groty, bo są tego samego rodzaju, co skały ojcowskie.

Zapusciliśmy się między zarośla i istotnie znaleźliśmy dwie niewielkie groty. Gdyby tu prowadzić poszukiwania szczegółowsze i na większej przestrzeni, to bezwarunkowo znalazłoby się grot znacznie więcej i kto wie nawet, czy nie tak wielkich jak w Ojcowie.

Po południu przybyliśmy do gniazda rodu Potockich — Złotego Potoku. Wieś ta, słynna z malowniczego położenia, posiada liczne źródła czystej krystalicznie wody. Z przyczyny obfitości wody utworzono tu też rozległe stawy i zaprowadzono racjonalną gospodarkę rybną.

Potok Złoty w XIII wieku należał do Odrowążów, po których dostał się Pilawitom, którzy też od miejsca tego pisać się zaczęli Potockimi, — następnie przeszedł na własność Krasińskich i należał przez jakiś czas do poety Zygmunta.

Zabawiwszy tu dwie godziny, — ruszyłem z moim towarzyszem podróży w dalszą drogę na zachód po przez wsie: Janów, Piasek i Przyimiłowice do Olsztyna, gdzie znaleźliśmy się o 7-ej wieczorem, po uciążliwej piaszczystej drodze, częścią przez spory las, zamierzając zwiedzić tu ruiny zamczyska i zanocować, by nazajutrz w niedzielę można było stanąć u celu podróży — na Jasnej Górze.

Wdrapawszy się po nadzwyczaj śliskiej murawie, pokrywającej górę zamkową, stanęliśmy u stóp potężnych murów, które niewiadomo jak

dawno wzniesione, a rozszerzone przez Kazimierza Wielkiego, w podziemiach swych kryły skazanego na śmierć [głodową] słynnego Borkowica, wojewodę poznańskiego. Z nich też bohaterski Kacper Karliński w roku 1587 odparł wojska arcyksięcia Maksymiljana. Mury te wreszcie po szturmie szwedzkim w roku 1656 popadły w ruiny, i dziś sterczą smutnie, opuszczone.

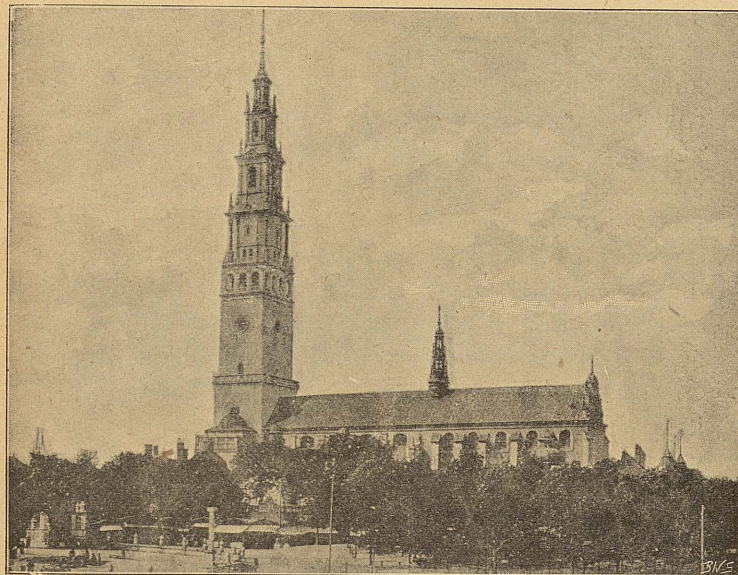
Góra zamkowa, podobnie jak i w Ogrodzieńcu, najeżona jest mnóstwem skał, między którymi pobudowano mury. Dziś z nich pozostały szczątki ścian, oraz część kwadratowej wieży i baszty okrągłej.

Zamek Olsztyński w r. 1370 nadany został lennym prawem wraz z ziemią Wieluńską, Władysławowi Opolskiemu, ale gdy ten uciskał mieszkańców, Jagiełło unieważnił nadanie i zdobywszy w roku 1396 Olsztyn, włączył go do korony. U stóp zamku leży biedne miasteczko, posiada jednak ciekawy kościół parafjalny.

Najciekawszą może jednak z osobliwości, znajdujących się w Olsztynie, jest wielka grota, znajdująca się w górze, zarosłej gęstą buczyną, a położonej o półtorej wiorsty za miastem na południe. Grota ta, niezbadana dotąd dobrze, posiada kilka olbrzymich komór i kurytarzy, których ściany oblepione są mnóstwem stalaktytów, tworząc w ten sposób coś w rodzaju organów; ze sklepienia jej opadają piękne sople stalaktytowe, a stalagmity wznoszą się licznie z dołu, w wielu miejscach połączone już ze stalaktytami w jedną kolumnę.

W grocie Olsztyńskiej nie znaleziono kości

zwierzęcych ani jakichkolwiek śladów pierwotnego człowieka. Czworokątny, kilka metrów wysoki otwór prowadzi do wnętrza tej groty, od której samą skałę nazwano Hohlstein (wydrążony kamień). Miano to prawdopodobnie przeszło i na zamek w zmienionej nieco formie — Olsztyna.



Klasztor na Jasnej Górze.

Była 8 rano, gdyśmy udali się ku Częstochowie, rozpoczynając 17 i ostatni dzień podróży. Piaszczystą drogą wśród wzgórz, następnie przez las sosnowy, doszliśmy do miasta, które słynie w całej Polsce z cudownego Obrazu Matki Boskiej.

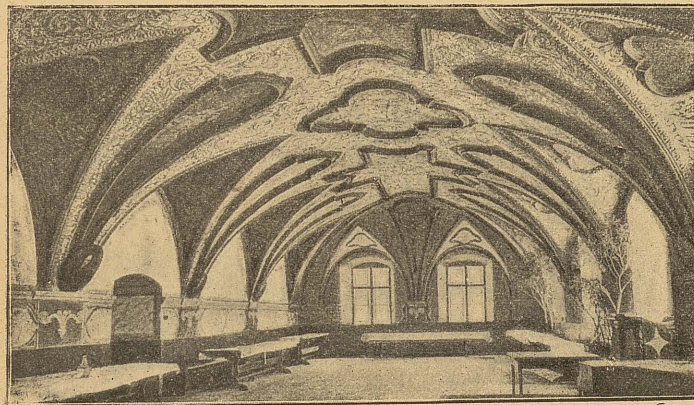
Częstochowa, dziś miasto powiatowe, liczy

przeszło 60,000 mieszkańców i posiada znacznie rozwinięty przemysł i handel. Znalazszy się w mieście, pierwszym czynem naszym było podążenie 1½ wiorsty długą, ocienioną kasztanami szeroką aleją ku klasztorowi Jasnogórskiemu który, wieżą swą górując nad miastem, a świętością przyświecając całemu krajowi, stał się od dawna już miejscem pielgrzymek setek tysięcy wielbicieli Marji. Była niedziela. Tłumy mieszkańców miasta, spacerujących po owej alei, kierowały się na Jasną Górę, wymijając po drodze setki kramów z najrozmaitszymi przedmiotami świętymi i artykułami przeważnie w rodzaju pierników, obwarzanków, cukierków, lemoniad i wody sodowej. Przeszedłszy z pół wiorsty wśród tej ciżby ludzkiej, stanęliśmy u wejścia do klasztoru, przed okazałą bramą, za którą trzy inne broniły wejścia niepotrzebnym gościom w obręb klasztoru.

Obraz cudowny wywiózł z zamku bełzkiego ksiązę Opolski Władysław, i umieścił go w drewnianym kościółku na Jasnej Górze w r. 1382, wbrew zamiarom swoim zawiezienia go do Opoła, a to podobno z powodu, że konie, ciągnące wóz z Obrazem nie chciały ruszyć za Częstochowę. Ksiązę miał objawienie, by pozostawił tutaj tę pamiątkę, co też uczynił. Do strzeżenia tego obrazu sprowadził z Węgier zakonników Paulinów. Osadziwszy ich przy kościółku drewnianym, zbudował potem na jego miejscu kościół murowany i umyślnie dla nich wystawił klasztor, który z biegiem czasu, będąc powiększany i bogacony przez królów polskich, panów i wogóle wszystkich czczących to święte miejsce, rozwi-

nał się wspaniale i dziś olśniewa zwiedzających swemi skarbami i wielkością.

Klasztor Jasnogórski, przyciągając bogactwami zgromadzonemi w nim, różnych rabusiów, — podlegał częstym napadom wojsk nieprzyjacielskich i band rozbójniczych, jak np. r. 1430 —



Refektarz klasztoru Jasnogórskiego.

szajki lotrów, podających się za Husytów. Z wypadków takich pamiętne jest najlepiej oblężenie twierdzy Jasnogórskiej przez Szwedów w roku 1655, a obronionej przez o. Augustyna Kordeckiego. Po tym oblężeniu klasztor był jeszcze kilkakrotnie napadany i oblegany i ostatecznie w r. 1813, po usunięciu murów obronnych, przestał być twierdzą. Na wałach klasztornych wystawiono w r. 1859 bohaterskiemu obrońcy Częstochowy pomnik.

Zwiedziwszy kaplicę Matki Boskiej, gdzie setki przybyszów ze wszystkich okolic kraju cały dzień modli się na klęczkach, przejęci nieokreślonym wrażeniem majestatu, jaki tu panuje, zwłaszcza w chwilach, gdy przy odgłosie trąb i ekstatycznych okrzykach rozmodlonego tłumu, — złota zasłona pokrywająca święty Obraz, wolno posuwa się w górę, ukazując ciemne, ledwo widzialne, z dwiema skazami na policzkach — Oblicze Najświętszej Panny Marji, — wyszliśmy z kaplicy obejrzeć resztę ciekawych miejsc i przedmiotów klasztoru paulińskiego. Między nimi zasługuje na szczególniejszą uwagę: bogaty skarbiec klasztorny z mnóstwem pamiątkowych i nieocenionych darów, złożonych przez panujących i możnych, — cenna biblioteka z mnóstwem rękopisów na pergaminach, sala tak zwana Rycerska, i refektarz (jadalnia).

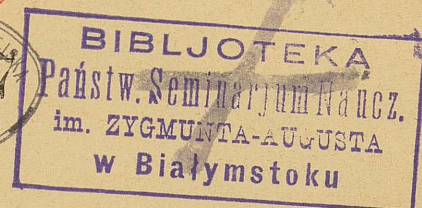
Obejrzawszy następnie wszystkie dziedzińce klasztoru, wały i mury, — w których gdzieniegdzie sterczą do połowy uwięzłe kule szwedzkie, — opuściliśmy najświetniejszą w Polsce świątynię, by zwiedzić resztę ciekawych miejsc grodu Jasnogórskiego.

Najstarszą świątynią był tu kościół św. Zygmunta, o którym mówią, że budowany był w końcu X stulecia, a więc należałby do pierwszych w Polsce. Kościółek ten jednak rozebrano, celem postawienia na jego miejscu nowego, obszerniejszego kościoła. W r. 1642 założony został u podnóża Jasnej Góry kościółek św. Barbary z klasztorem, gdzie mieścił się nowicjat pauliński, i gdzie w położonej obok na cmentarzu

kapliczce znajduje się studnia, z której woda uważana jest za posiadającą moc leczenia chorób oczu.

Istnieje też w Częstochowie kościół św. Rocha, wystawiony w r. 1680 na uproszenie ochrony od morowego powietrza. Zabudowania tutejszego gimnazjum mieszczą się od roku 1865 w gmachu, należącym niegdyś do zgromadzenia Marjawitek, które tu miały kościółek i klasztor, jedyny w całej Koronie; na Litwie było klasztorów ich aż 17. Zgromadzenie to, ciekawe ze względu, że miało na celu nawracanie Żydów na katolicyzm — publicznie ujawnione zostało w roku 1737 w Wilnie, założone zostało zaś znacznie dawniej, przez Józefa Stefana Turczynowicza, proboszcza kościoła św. Stefana w tym samym mieście.¹⁾

Po zwiedzeniu miasta, pożegnawszy się z kolegą, który miał wrócić stąd koleją do Warszawy, powędrowałem z powrotem do Janowa, by stamtąd, idąc wciąż na wschód, znaleźć się wreszcie w Pierzchnicy i rozpocząć tam naszkicowanie tej niezapomnianej dla nas podróży.



¹⁾ Zgromadzenia tego nie należy mieszać z obecnie powstałą sektą Marjawitów, która po za podobieństwem w nazwie, nic nie ma wspólnego z Marjawitkami.



SPIS RZECZY.

	<i>Str</i>
Przygotowania	5
I. Do Bodzentyna	8
II. Wspomnienia	13
IV. Pierwszy dzień podróży	24
V. Na Świętym Krzyżu	35
VI. Grzbietem Łysogór	46
VII. Na Łysicy	53
VIII. Z Łysogór do Chęcin	61
IX. Śród gór z marmuru	73
X. Od Nidy do Nidzicy.	81
XI. Pod murami trzech zamczysk.	87
XIII. W Ojcowskim Kanjonie	105
XV. Sąspowską doliną	127
XVI. Przez Polską Saharę	134
XVII. W Zagłębiu Dąbrowskim	146
XVIII. Ku Jasnej Górze	152

1412A

